MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 36. WARSZAWA, 26 SIERPNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

POGARDA WOBEC LICZBY I MIARY

BOLESŁAW PRUS, wychowanek, jak wiadomo, fizyko-matematycznego falkultetu, napisał przed laty kilkudziesięciu, że w Polsce nietylko byłoby niemożliwe wynalezienie logarytmów, ale nawet ich wydrukowanie—taka u nas panuje pogarda liczby wogóle, a tembardziej jakiegoś szóstego, czy siódmego znaku dziesiętnego! Nie jestem pewien, czy miał rację co do wynalezienia, bo naogół zdolności nam nie braknie, a ostatnio, jak słychać, studjum matematyczne na wszechnicach polskich kwitnie i wydaje piękne rezultaty, ale co do wydrukowania, to można się pod zdaniem znakomitego pisarza podpisać obu rękoma. Liczbę traktuje się u nas jako coś zupełnie bez znaczenia, a raczej ma się wrażenie, że jej znaczenie zupełnie nie przenika do świadomości przeciętnego Sarmaty; jest to jakby jakiś ornament, po którym oko się ślizga, mózg jednak nie odbiera żadnej pobudki.

Dowodów na to dostarcza nam codziennie w wielkiej obfitości nasza prasa codzienna, w której roi się od jaskrawych, na pierwszy rzut oka widocznych niedorzeczności cyfrowych, a gdy przypadkiem cyfry są prawdziwe, to ich zestawienie nie trzyma się kupy. Widać, że ani redaktor, ani korektor nie zwracają na sens cyfr żadnej uwagi, a publiczność również, bo inaczej przecież protestowałaby przeciw temu; tymczasem w dość już długiej karjerze dziennikarskiej nie zdarzyło mi się spotkać z protestem przeciw temu poniewieraniu zdrowego sensu. Przytoczę parę przykładów; nie będziemy potrzebowali szukać ich daleko.

Przed kilkunastu dniami oficjalna nasza agencja telegraficzna podała obszerne depesze o t. zw. nacjonalizacji srebra w Stanach Zjednoczonych. Sprawa ekonomicznie bardzo ważna i zasługująca na poważne traktowanie. Cóż się jednak dzieje? Oto w długiej tej depeszy kilkakrotnie, uporczywie powtarza się zdanie, że cena wykupowanego przez skarb Stanów srebra wynosić będzie 50,51 dolara za uncję. Nie wiem, czy znalazł się jaki dziennik, któryby skorygował ten nonsens; w tych kilku, które przeglądam, figurowało to bez zmiany; a więc nikogo ta cena, sto razy wyższa od rzeczywistej, nie uderzyła, nikomu nie przyszło na myśl, że to przecież jest niemożliwe, że musi być „centa" a nie „dolara"! A może nikt nie wiedział, co to jest „uncja"? Możliwe, bo oto w tym samym mniej więcej czasie, słuchając przypadkowo dziennika, nadawanego przez radjo, byłem świadkiem zabawnego zakłopotania *speaker*'a, podającego wiadomość o ilości wydobytego w ubiegłym roku złota. Ilość ta podana była według źródeł angielskich, a więc w miljonach uncyj, coś 29 miljonów z dwoma jeszcze znakami dziesiętnemi. *Speaker* doszedłszy do tej liczby, nagle stanął, zaczął chrząkać, najwidoczniej nie mógł sobie dać rady i z liczbą i z miarą, wreszcie wygłosił coś zupełnie niezrozumiałego i popędził dalej, do wiadomości bodaj o Walasiewiczównie, gdzie czuł się już pewnie. Być może, iż młodsze pokolenie nie kuło już w pierwszej klasie gimnazjalnej, tak jak my: funt — 12 uncji, uncja — 8 drachm, drachma — 3 skrupuły, skrupuł — 20 gran", a szkoda, bo przecież jeszcze połowa cywilizowanego świata nie używa systemu metrycznego, i później mała rzecz, a wstyd. Ten *speaker* zrobił mi ten większy zawód, że może niesłusznie, uważam wszystko, co ma do czynienia z radjem, za *ultramodern*, a więc *speaker* w mojem mniemaniu powinien palić angielską fajkę i angielski w niej tytoń, *„Navy cut"*, czy *„Glasgow Mixture"*, a te sprzedaje się na uncje. Ale mniejsza z tem. Nazajutrz znalazłem w druku ów komunikat o wydobyciu złota i znów z owemi nieszczęsnemi miljonami uncyj. Liczba ta, oprócz paru specjalistów, nikomu nic nie mówi, redaktor notatki powinien więc był przeliczyć to na kilogramy i na wartość pieniężną, wtedy byłoby to dla ogółu zrozumiałe; może nawet myślał o tem, ale pewno, jak ów bohater rosyjskiej komedji *„ubojachusia bezdny premudrosti"*: taka matematyka, trzeba mnożyć i dzielić... Lepiej dać tak, jak jest, na liczby przecież i tak nikt nie zwraca uwagi.

Może mi ktoś zarzucić, że czepiam się błahostek, że nie powinno się przykładać poważnej miary do wiadomostek egzotycznych, nie mających w gruncie rzeczy bezpośredniego praktycznego znaczenia. Cóż, kiedy to się samo dzieje ze wszelkiemi innemi liczbami w naszej prasie codziennej; czy to będzie statystyka ludności, czy obrotu handlowego, wszędzie stosunek do liczby zupełnie lekceważący, pomieszanie na każdym kroku pojęcia „procent" i *„pro mille"* i t. d. O t. zw. gorączkowej pracy dziennikarskiej nie będziemy między sobą mówili, to dobre dla laików. Zresztą bardzo łatwo stwierdzić, że tego stosunku do liczby niema w żadnej innej prasie, pracującej nie mniej gorączkowo od polskiej. Jest w tem widać jakaś zasadnicza przyczyna, trwała i uparta, skoro mimo epoki pozytywizmu, który powinien był przecież zaszczepić w społeczeństwie poszanowanie dla liczby i miary, działa dziś tak samo, jak za czasów Prusa.

Mówi się często, że z liczbami można wszystko zrobić, że statystyką można wszystkiego dowieść i uzasadnić. Tak, ale tylko w środowisku, które liczb nie rozumie i niemi operować nie potrafi. Wtedy tylko naciąganie liczb do potrzeb i fałszywe wnioskowanie jest możliwe. Nasze środowisko właśnie jest takiem podatnem polem do popisu sztukmistrzów liczbowych, mogących łatwo wprowadzać dezorjentację. To jest też powodem, dla którego sprawę niniejszą pozwalam sobie poruszyć. A nie chcę też pominąć przykładu z ostatnich czasów.

Przed kilku dniami czytaliśmy w dziennikach komunikat zarządu telefonów o ostatnich stadjach automatyzacji. Było w nim jakby mimochodem powiedziane, że automatyzacja dała w wyniku znaczne przyśpieszenie połączeń i tym sposobem oszczędziła abonentom wiele czasu, a czas jest, jak wiadomo, pieniądzem. W ten sposób zarząd telefonów usprawiedliwia automatyzację, która słusznie natrafiła na sprzeciw opinji. Przypatrzmy się tedy, jak to ta oszczędność na czasie wygląda cyfrowo.

Według danych, ogłoszonych przez tenże zarząd telefonów, na każdego abonenta przypada w Warszawie 3.425 rozmów rocznie, czyli 9 i pół dziennie. Łatwo się przekonać, że wywoływanie przy systemie automatycznym, jeżeli wszystko idzie jak z płatka, co bynajmniej nie zawsze ma miejsce, trwa przy pewnej wprawie wywołującego 15 do 18 sekund. Gdybyśmy przypuścili, że przy ręcznem łączeniu wywoływanie trwa 25 sekund, co byłoby już wielką koncesją dla systemu automatycznego, to wynika z tego, że abonent przeciętnie zaoszczędza dziennie 90 sekund, czyli półtorej minuty, a więc, praktycznie biorąc, nic. Byłoby to może coś, gdyby istniała jakaś skarbonka, do którejby te oszczędności można było składać i w której, by się sumowały. Ba, wtedy po stu latach każdy zaoszczędziłby 900 godzin, czyli przeszło 37 dób, a więc przy końcu długiego i pracowitego żywota, mógłby sobie wziąć miesięczny *extra*-urlop. Cóż, kiedy takiej skarbonki niema i te drobne oszczędności przepadają, nie grają żadnej roli w naszym budżecie pracy, czy przyjemności. Tak tedy automatyzacja telefonów, pozbawiająca chleba wielką rzeszę pracowników w okresie ciężkiego bezrobocia, pozostaje nadal czynem ekonomicznie szkodliwym i nie daje nietylko znacznych, ale nawet żadnych oszczędności czasu, a tylko przysparza dochodu zagranicznym kapitalistom. Cztery działania wystarczą, żeby to sobie uświadomić.

Doprowadzenie do jakiego takiego poszanowania liczby i miary jest u nas rzeczą pilną i niezbędną. Wpojenie przekonania, że, właściwie ujęta, jest ona niezbędnym instrumentem przy ocenianiu zjawisk codziennego życia, jest niełatwem, jak się okazuje, zadaniem u nas. Dobrze będzie przypomnieć o niem teraz, na początku roku szkolnego, bo mam podstawy do obaw, że w młodem pokoleniu rzeczy stoją bodaj jeszcze gorzej, niż w starszem.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZEMIANY SPOŁECZNEJ: II

ROZBIORY

CHOCIAŻ nie tak ważne, jak się zwykle przypuszcza, są jednak daty rozbiorów wielkiem wydarzeniem w życiu społecznem Polski — zmieniły one bieg ewolucji socjalnej, a przedewszystkiem rozbiły jej jednolitość.

Aż do rozbiorów społeczną historją państwa można objąć wszystkie jego obszary, wszędzie działają te same tendencje, a choć są pewne różnice, to są to różnice dzielnic odrębnych, — niemal kolonij, a nie kraju głównego, jak Ukraina; sam rdzeń Polski żyje tem samem życiem i tą samą ideją.

Teraz już tego niema. Oderwane prowincje zaczynają powoli żyć życiem własnem, odróżniać się coraz bardziej od siebie — jednolitym obrazem objąć ich ewolucji społecznej już nie sposób. Widomym przykładem tego — Galicja. Oderwana w 1772 roku, nie przeszła przez ożywczy ruch reform, nie poznała szkół Komisji Edukacyjnej, ani równouprawnienia mieszczan, nie walczyła o wolność w latach 1792 i 1794, ale żyła niemal po sasku, a tylko z nową biurokracją niemiecką i w strasznym zastoju gospodarczym. Odbiło się to na niej fatalnie; a odmienność historyczna przejawia się na oko, nawet w takich drobiazgach, jak brak klasycznego typu dworu polskiego po wsiach. Na wieś galicyjską nie dotarł klasycyzm i *empire*, bo nie dotarły ich odpowiedniki ideowe. Ganki, kolumny i tympanony, tak typowe dla Polski, w granicach po 1773 r., aż po najdalsze jej kresy, jakieś Peczary, czy Wierzchownie, rozmaite warjantami, od pałaców magnackich, aż po dworki i oficyny, są w Galicji niemal równie rzadkie, jak na Górnym Śląsku, gdzie przecież też natrafić można na piękne okazy *empire*'u, ale gdzie to nie jest typowe.

Oprócz tej cechy zasadniczej — rozbicia jednolitości dziejowej,—historyczno-społeczne znaczenie rozbiorów obejmuje jeszcze i inne rzeczy, a mianowicie: przemianę strukturalną szlachty i zagadnienie asymilacji, inne niż dotychczasowe, czasów unji sięgające, bo teraz chodzi o wyższych kulturalnie Niemców w związku z ich silnym napływem, jako urzędników czy kupców.

Koniec Rzeczypospolitej szlacheckiej i wtargnięcie nowych, asymilowanych dopiero żywiołów,

to poprostu społeczna rewolucja porozbiorowa; dzięki nim czasy Księstwa i Królestwa, choć niby dalszy ciąg stanisławowskich, bo często i ludzie ci sami (Staszic, Stanisław Sołtyk, Potoccy), zastały już całkiem inne społeczeństwo, i majowa ustawa nawet za Aleksandra nie wróciła, — a choć proces ten zaczął się poniekąd wcześniej, a kończył za Królestwa i później, to jednak bezpośrednie lata porozbiorowe zrobiły tu najwięcej.

Szlachta taka, jaka była za Sasów, a nawet taka, nieco zepchnięta ze swego piedestału, jak ją zostawiał Stanisław-August, nie mogła przeżyć upadku swego państwa. Bez Rzplitej szlacheckiej, bez jej praw i urządzeń, nie było dla niej miejsca w żadnym układzie społecznym; to też państwa rozbiorcze przykroiły ją natychmiast do swoich wymagań. Dawna Polska znała jeden stan szlachecki, bez żadnych wewnętrznych stopni i podziałów, gdzie wszyscy byli „bracią" i gdzie szlachcic równy był wojewodzie. Życie wprawdzie szło cokolwiek inaczej, i ta równość była raczej tylko na papierze, ale dzięki niej, choć zawitały do Polski tytuły, nie było u nas arystokracji, a tylko możnowładztwo, w praktyce — plutokracja szlachecka, dostępna dla każdego, co się wyniósł i dorobił. Rody magnackie i senatorskie wznosiły się więc i opadały jak fale. Był Firley możnowładcą w XVI stuleciu, ale w XVIII nie zasiadał już żaden w senacie (wymarli w połowie tego wieku), a sławni niegdyś Ostrorogowie co najwyżej jakieś drążkowe krzesło obsadzili; biedowali kniaziowie Czartoryscy wiekami w zakątach Wołynia, aż nagle błysnęli największą potęgą i dostatkiem; ekonomski wnuk, Poniatowski zasiadł na tronie, a mizerny szlachetka Branicki dochrapał się hetmaństw i tytułów. Nic w tej klasie nie było stałego i na palcach można wyliczyć takie rody, co jak Potoccy lub Radziwiłłowie stuleciami utrzymywały fortuny i senatorskie krzesła. Ta ciągła zmiana fali ludzkiej jest powszechna, a więc i gdzieindziej się zdarzała, ale system feodalny tytułów i przeróżnych szranek kładł jej rozliczne tamy, i utrzymywał na świeczniku i biedniejsze rody, czego u nas nie było.

Dzięki tej równości, szumnie i stale głoszonej, a praktycznie, bez ustaw specjalnych przeciwko gromadzeniu dóbr niemożliwej, wytworzył się w Polsce typ możnowładcy, trzęsącego państwem, ale mimo wszystko zależnego od mas szlacheckich, które na sejmiku dawały mu to prawo. Na tej symbjozie wyrósł cały, oryginalny, jakby starorzymski system klijenteli, wojsk prywatnych i olbrzymich dworów magnackich, skupiających wkoło siebie biedniejszych „braci".

Całemu temu systemowi poderwała już podstawę bytu przebudowa społeczna czasów stanisławowskich, i idąca wślad za nią reforma budowy państwowej — i znikał ten świat sarmacki bezustannie, choć powoli, ale kres nagły i gwałtowny przyniosł mu dopiero upadek państwa, gdzie taka warstwa i taki system społeczny był możliwy. Z rozbiorami zawalił się świat magnaterji, szlachta przestała się czepiać pańskiej klamki, bo już jej nie stało, a sami wielcy panowie, pozbawieni starostw, zubożeli nagle i raptownie, — pocieszono ich za to tytułami. I narodziła się wtedy arystokracja, nie dlatego, że hojnie rozdawano hrabstwa, wszak były one już wcześniej, ale dlatego, że po raz pierwszy wysunięto jako podstawę znaczenia rodu nie jego majątek, a jego dawność. Ustaliła to Austrja swojemi tabelami, pozwalającemi senatorom, lub potomkom senatorów starać się za niższą taksę o tytuły, według ściśle określonych prawideł. Wyodrębniono w ten sposób z jednolitej rzeszy szlacheckiej — owe „rody senatorskie", do których już dostępu nie było, bo nie było senatu, a w ten sposób dokonano podziału nie faktycznego, jak dotychczas, ale prawnego, z kryterjum nieprzekraczalnem.

Posypały się więc na wybrańców tytuły; prym tu trzymała Austrja, ale i Prusy nie zostały w tyle, i Fryderyk Wilhelm III, w dniu swojej koronacji, podpisując liczne dekrety łask, obdarzył hrabiostwem szereg rodzin polskich; wtedy dostali swoje tytuły: Bielińscy (h. Junosza), Bnińscy, Brzostowscy, Łubieńscy, Mikorscy, Wołłowiczowie i Zboińscy, prócz szeregu innych. Stosunkowo najskąpiej udzielał tytułów dwór carski i jego tytuły są dosyć rzadkie. Prócz pochodzących od trzech państw rozbiorczych, trafiają się inne, bardziej egzotyczne, bo saskie (Brezowie), czy papieskie (Cieszkowscy). Liczba utytułowanych rosła jak na drożdżach, bo zdarzało się, że nieobdarzeni dla tych czy innych powodów (zostali np. w Polsce, która tytułów nie dawała), nie chcąc ujmować splendorów rodowi, w tym wyścigu próżności samowolnie przybierali sobie hrabstwa, co często zyskiwało później urzędową aprobatę; w ten sposób np. doszli do tytułu Dąmbscy. Z reguły wreszcie tytuł, nadany jednemu z reprezentantów rodziny, przybierali i inni, choć on właściwie tylko jednej gałęzi, a nie całemu rodowi przysługiwał. Wtedy także, ulegając ogólnemu prądowi, starały się o dyplomy i te nieliczne domy magnackie, co jak Zamoyscy, pozostały wierne konstytucjom sejmowym, i mimo wielkiego znaczenia nie posiadały księstw lub hrabstw *Sancti Romani Imperii*. Zaroiło się więc teraz od hrabiów, bo tytuł baronowski jako najskromniejszy nie budził wielkiej pożądliwości i niebardzo się przyjął, namnożył ich dopiero później Napoleon.

Z biegiem czasu ta fala opadła, i wiele z nabytych wówczas tytułów wyszło potem z użycia, świecąc tylko w herbarzach, a także od czasu do czasu na kartach ślubnych i nekrologach, ale początkowo ta tytułomanja grasowała okropnie i można bez końca cytować rozliczne, a wysoce śmieszne jej przykłady. Taki np. Józef Jabłonowski, książę i wojewoda nowogródzki, mający chyba dosyć tytułów, człek przytem niegłupi, z całą powagą wypisuje, w rozlicznej ich litanji, jakiegoś groteskowego „liber barona na Podhorcach", *nota bene* nie do niego należących, — a Milżeccy, którym widać ulgowa taksa nawet na baronję nie pozwalała, zamiast poprzestać na tem, że są dobrymi Odrowążami, wystarali się o przedziwne „kawalerstwo" (*eques)*, i ten humorystyczny zaszczyt tak sobie czynili, że jeszcze po latach zgłosili się z nim do Heroldji Królestwa Polskiego, uzyskując jego potwierdzenie. Tytuły te kosztowały moc pieniędzy, a dla wielu rodzin stały się poprostu przekleństwem, pacząc ich tradycję i doprowadzając je do ruiny.

Nierównie ważniejszą jest sprawa druga, której osobliwość zwróciła już uwagę Skarbka.

Chodzi tu o to, że słabszy finansowo i kulturalnie naród potrafił asymilować, w chwilach dla siebie najniekorzystniejszych, liczny, obcy żywioł, mający nad nim, oprócz tych wymienionych finansowych i kulturalnych przewag, jeszcze i wiel-

ką przewagą polityczną. Wprost nie do uwierzenia dziwnem wydaje się, że pod rządami pruskiemi i austrjackiemi asymilowali się Niemcy, i to nietylko ci dawniejsi, choćby od czasów saskich osiadli, ale także i całkiem świeżo przybyli w celach germanizacyjnych urzędnicy. Że szybko asymilowała się szlachta niemiecka, dziwić wcale nie może, zwłaszcza póki trwało państwo, ale dziwniejszą już jest jej dalsza asymilacja — po rozbiorach; natomiast gdy chodzi o mieszczaństwo, to ono całkowicie zaczęło się asymilować dopiero za Stanisława-Augusta i po rozbiorach. Przedziwna ta zagadka znajduje jednak łatwe rozwiązanie i przygodne uwagi Skarbka (w „Pamiętnikach Seglasa") kryją w sobie ogromną dozę prawdy.

Sekretem przyciągania Niemców jest rycerskość i pańskość naszej kultury, cecha tak obca niemieckiej. Naszą tworzyła wyłącznie szlachta i swoje cechy na niej wycisnęła — tamta jest przedewszystkiem dziełem mieszczaństwa i stąd najzupełniej inna od naszej. To przeciwieństwo kultur występowało równie silnie, gdy szło o asymilację niemieckiej szlachty, bo ta niemiecka szlachta, jaka do nas zawitała, to w ogromnej większości nieznana naszemu typowi cywilizacyjnemu szlachta urzędnicza, o tradycjach zgoła nieziemiańskich, a silnie z mieszczaństwem sfiljowana. Póki więc miasta, i ich niemiecka w znacznej mierze ludność, żyły oddzielnie od reszty Polski, zamknięte przemocą w swym partykularzu, utrzymywał się nienaruszony niemiecki żywioł i jego obyczaje, — gdy zaś ustawy stanisławskie, a więcej jeszcze niwelacyjny prąd czasu pomieszały stany, zaczął działać błyskotliwy urok polskości, często wspomagany przez prosty snobizm i miasta polszczały gwałtownie; że zaś ruch narodowy i pojęcie narodowości w związku ze słabością państwa, a później jego upadkiem rozwinęło się w Polsce o wiele wcześniej, niż w Niemczech czy na Zachodzie, więc nasza moc atrakcyjna była silna i świadoma, a nie miała do zwalczenia równie groźnego przeciwnika w jakiemś innem świadomem i silnem poczuciu narodowem; — wreszcie zespoliła się ona z liberalnemi hasłami wieku, jak żadna inna, a to znowu dało jej doraźną moc zdobywania dla siebie i takich środowisk, gdzie jako tylko narodowa, czy tylko szlachecka, nigdyby nie dotarła.

Rosła więc polskość mimo rozbiorów, a nie malała na przełomie obu stuleci; jej wpływy sięgały po Śląsk i Królewiec, niczem za Jagiellonów, a jej nowi synowie Niemcy, z naciskiem twierdzący, że są czystymi Polakami (Ślązak-Kausch, J. S. Bandtkie) dostarczyli jej wielu zasłużonych na najrozmaitszych polach kultury. Świadczą o tem: Jänisch-Janocki, Mitzler de Coloff, Dogiel, Nax, Kuntze, Gröll, bracia Bandtkie, Linde, Lelewel, Pitschmann, Vogel, Steinkeller, Pol, Helcel i cała moc innych.

Garnęli się oni żywiołowo do polskości, a skoro polskość pokrywała się z szlacheckością — dążyli do tej szlacheckości, bo dzięki niej całkowicie zespalali się z nową ojczyzną. Nie jest to przypadkiem, że właśnie Pol, pisarz krwi obcej, dał nam poetyczną wizję geografji, a w swoich popularnych gawędach jest fanatycznym piewcą sarmatyzmu, zaś uczeni Niemcy opracowują przedewszystkiem dzieje kultury: Linde daje nam pierwszy słownik, Janocki tworzą naszą bibljografję, Mitzler wydaje starych historyków, Bandtkie (Jerzy Samuel) opracowuje historję drukarń i pierwszy próbuje ogarnąć całokształt naszej kultury w swych „Dziejach", drugi Bandtkie i Helcel badają prawo i gromadzą jego pomniki — wszechstronny jest Lelewel; a jakże zasłużeni są taki Dogiel, czy Gröll, lub z nieco innego pola Nax, pierwszy u nas teoretyk ekonomji. Podobnie malarz Kuntze (jak i Włoch Bacciarelli) portretuje się w stroju polskim i z konfederatką, a Francuz Norblin daje nam (obok Chodowieckiego) najlepszą kolekcję typów staropolskich. Jest to gorliwość neofitów — w ten sposób pracą swoją wymieniają oni jakby obcą przeszłość swoich przodków, na naszą, narodową; — chcą jakgdyby rozgryźć urok i istotę tego, co ich do nowej narodowości doprowadziło — a nie związani z przeszłością i mimo wszystko jej obcy, mają większą objektywność w jej badaniu i ocenie; stoją jeszcze poza nią, a jednak już są jej synami.

Jest to ostatni w naszych dziejach wielki ruch asymilacyjny, — późniejsza „asymilacja" żydów, do której entuzjazmował się pozytywizm, wydała tylko, jak i poprzednia (Frank), opłakane wyniki.

KAROL STEFAN FRYCZ

POLAK — BADACZ SYBERJI

WIADOMO, iż „umarli prędko jadą" — jak mówi Bürger w „Lenorze" — tak jednak mknąć szybko w pamięci ludzkiej, jak dzisiaj, to chyba nigdy nie mknęli.

Pośpiesznie grzebiemy swoich zmarłych, jednym krótkim tchem wypowiadamy, nazajutrz po śmierci, wszystko, co się da na ich chwałę — jeśli była — powiedzieć, a później, to chyba przypadkiem ktoś zwróci uwagę ogółowi, kim byli, jaką wartość przedstawiali, zwykle jednak, z chwilą postawienia krzyża na ich grobie, przechodzi się nad nimi do porządku dziennego.

Na jednego z takich, pośpiesznie pogrzebanych w pamięci współczesnych, mianowicie na zmarłego przed kilkoma laty, znakomitego przyrodnika, badacza Syberji, profesora Benedykta Dybowskiego, pragnę zwrócić uwagę naszych czytelników.

Jednocześnie niemal ze śmiercią prof. Dybowskiego ukazał się jego „Pamiętnik" (od r. 1862 zacząwszy do r. 1878, Lwów 1930 r., str. 627), o którym dość było głucho w naszem piśmiennictwie bieżącem, — a już w nim jednym mogliby znaleźć ludzie nietylko sporo wiadomości o tem, czem się wsławiło w świecie to imię polskie, lecz i niemało sposobności do podziwu dla człowieka, ściślej mówiąc, dla Polaka niezwykłego gatunku[1]).

[1]) Spłacam tu poniekąd, w skromnej mierze, dług wdzięczności, zaciągnięty wobec czcigodnego prof. B. Dybowskiego. Przed pół wiekiem niemal, jako dziewiętnastoletni młodzieniec, wybrawszy się zagranicę na studja uniwersyteckie, zatrzymałem się na czas dłuższy we Lwowie, gdzie profesor B. D., po powrocie do kraju z Kamczatki, świeżo został powołany na katedrę zoologji. Od ojca mego, kolegi prof. D. z Dorpatu, miałem do niego list polecający, który sprawił, że wkrótce zostałem przyjęty do najbliższego koła znajomych znakomitego uczonego (między innemi należał do

Dr. Benedykt Dybowski, profesor warszawskiej „Szkoły Głównej", zesłany był w 1864 r. na Sybir i skazany na ciężkie roboty, z „Pamiętnika" wszakże, opisującego lata pobytu na wygnaniu, wieje duch z psychiką skazańca niewiele mający wspólnego.

Owszem, czy to na „katordze", czy później na osiedleniu, czuć na każdej stronicy, że przemawia do nas człowiek w duchu wolny, ani na chwilę, w najcięższych przebywając warunkach, nie podlegający przygnębieniu, i nie złorzeczący losom, — człowiek, pełen niezachwianego poczucia swej godności ludzkiej i polskiej.

Wprawdzie okoliczności sprzyjały skazańcowi, od początku bowiem swego pobytu na Syberji aż do końca spotykał się nasz uczony z życzliwością ludzką, zarówno władzy — od najwyższej do najniższej — której podlegał, jak i ludności miejscowej, wśród której przebywał. Nietylko nie utrudniano mu życia dokuczliwą formalistyką biurokratyczną, lecz gdy się przekonano, kim jest, i jaki pożytek mogą mieć dla przyszłości mało zbadanego kraju jego badania naukowe, okazywano mu pomoc i ułatwiano pracę.

Pomimo to życie, wśród pierwotnych warunków bytu, w kraju pozbawionym urządzeń kulturalnych, pół-dzikim, było niełatwe — cóż dopiero mówić o studjach i badaniach naukowych!

Trzeba było nieraz we wszystkiem wystarczać sobie samemu, być np. swoim kucharzem i budowniczym, gdy chodziło o zachowanie życia, gdy zaś o badanie naukowe — wynalazcą rozmaitych narzędzi niezbędnych, technikiem naukowym.

Trudności napotykane przezwyciężała pogodna moc ducha człowieka, nie dającego się zrazić największemi przeszkodami, usuwała z drogi cierpliwa wola oraz inteligencja badacza. Działał tu jeszcze inny czynnik, mianowicie ogromna wiara w zbawczą dla ludzi potęgę wiedzy, stąd niegasnący ogień zapału dla niej, pragnienie zwiększenia jej zdobyczy własnym trudem, rozszerzenia jej dobrodziejstw na ogół ludzki.

Już w drodze na Syberję, w kibitce, na etapie, wśród warunków i wrażeń, jaknajmniej zachęcających do snucia złotej nici marzeń, młody profesor „Szkoły Głównej" nie o to się troszczy, jaka tam, w katordze i na wygnaniu, będzie wogóle możliwość życia znośnego, lecz o to, czy będzie mu dana możność istnienia jako uczonemu: tem myśl jego jest pochłonięta i w tym kierunku idą jego marzenia.

A gdy przybył na miejsce zsyłki, gdy po niejakim czasie wątpliwości żywione zostały rozwiane, wówczas, wzmocniony na duchu, porwany zachwytem wobec potężnej i przebogatej przyrody, jaką był otoczony, oddał się jej badaniu z uczuciem miłości dla najskromniejszego bodaj jej faktu i zjawiska.

Tak żył przez kilkanaście lat, znosząc trudy niezwykłe i niedostatek, tłumiąc tęsknotę i niepokoje, jakich niemało doświadcza wygnaniec; żył bez żalu i skargi, nie próżnując bodaj przez jedną chwilę dnia, gromadząc masy materjału naukowego gdziekolwiek los go rzucał: — w Zabajkalskiej krainie, nad Amurem i Ussuri, w Irkucku, na Bajkale, Kamczatce i t. d...

nich Władysław Kozłowski, znany podówczas filozof-ewolucjonista i t. p.). Z tego środowiska wyniosłem nie jedną dobrą pobudkę życiową, nie jedną zachętę do przyszłej pracy...

Rezultaty badań i zdobyczy naukowych prof. Benedykta Dybowskiego znane są przyrodnikom: zasłynął niemi wśród obcych, zbadał rzeczy nieznane przed nim, niejedno sprostował, niejedno w nowem świetle przedstawił, wzbogacił przytem cennemi okazami przyrodniczemi zbiory niejednej instytucji naukowej.

Zdumiewa w tem wszystkiem nietylko niepospolita bystrość i rzetelność badacza, lecz i ogromna skala jego zainteresowań. Czytając „Pamiętnik", notujący niemal każdodzienną czynność naukową jego autora, mamy tu odtworzony obraz życia człowieka, dla którego wszystko, co jest przyrodą i co w niej się dzieje, ma wartość bezcenną, taką, iż ma się wrażenie, że nie spocznie i nie ukoi się, aż wszystko to zbada i pozna, zrozumie przyczynę sprawczą jej życia oraz odczuje piękno. (Zakres badań prof. B. D. był olbrzymi: fauna i flora wschodniej Syberji, antropologja, etnologja, język plemion, zamieszkujących kraje pobytu, geografja i t. p. Materjał zebrany przez niego do opracowania, nie mówiąc o tem, co sam opracował, mógłby dostarczyć pracy wieloletniej licznym uczonym).

Tej namiętności badawczej towarzyszy kult bóstwa — przyrody, radość nieustanna z możności obcowania z nią, przenikania jej tajników. Jest w tem ubóstwieniu przyrody przez prof. B. Dybowskiego jakaś dziewiczość uczuć, granicząca nieraz z naiwnością dziecka, tam zwłaszcza, gdzie chodzi o t. zw. niezłomne prawa, rządzące wszechświatem.

Dzisiaj ta wiara w niezłomność praw natury, wiara w możliwość dotarcia do najtajniejszych jej zagadek na drodze doświadczenia i logicznej myśli, wydać się może niejednemu nieco anachroniczną, w naszych czasach bowiem została zachwiana i opuszczona niejedna świetna teorja w dziedzinie nauk biologicznych, która okazała się mniej cudowną w rozstrzyganiu tajemnic życia, niż to sobie wyobrażano na początku. Wówczas jednak, kiedy nasz badacz syberyjski oddawał się swoim badaniom, wiara powyższa była sprawą najnaturalniejszą, i raczej można byłoby źle sądzić o badaczu, gdyby jej nie podzielał. Był to bowiem czas epokowych odkryć w zakresie biologji oraz związanych z niemi teoryj naukowych — Darwina, Claude Bernard'a i t. p. wielkich uczonych.

Przyrodnicy zostali niemi olśnieni, gdyż wskazywały one im drogę do nieznanych przedtem zdobyczy, pobudzały do pracy i nęciły obietnicą wyjaśnienia procesów i zjawisk przyrody, uchodzących za wieczystą jej tajemnicę.

Uległ urokowi nowych teoryj i prof. B. Dybowski, swoją filozofję przyrody oparł bezwzględnie na ewolucjonizmie, swoją filozofję życia ludzkiego, fizycznego i moralnego — na determinizmie, wprawdzie optymistycznym (wiara w postęp, doskonalenie człowieka i t. p.), niemniej nieubłaganie, zgóry warunkującym wszystko.

Wyglądało to nieraz zbyt prosto i za surowo, nie każdą tajemnicę trafnie wyjaśniało, było jednak wiarą epoki, nie dziw więc, że dusze, odznaczające się żarliwością naukową, poddawały się jej często z mniejszym krytycyzmem, niżby należało się spodziewać po tych, którzy w nauce ufali przedewszystkiem doświadczeniu oraz ścisłemu rozumowi. (Pamiętam np. jak w rozmowach o ówczesnej literaturze, czcigodny profesor, przejęty teorją dziedziczności, widział w niej źródło, mogące odrodzić twórczość dramatyczną).

W „Pamiętniku" spotykamy często, zgodne z powyższą filozofją przyrodniczą, wyznania naszego uczonego. Wspominając np. niezwykłą zmyślność konia i psa, którzy mu byli przyjaciółmi i pomocnikami w pracy, prof. B. Dybowski pisze tam: „Jeżeli z dzikich, nawskroś egoistycznych istot, mogły powstać skutkiem tresury bezwiednej, takie osobistości, to czego nie byłaby zdolną wykonać tresura świadoma swych celów, umiejętna w wyborze środków, tresura ras ludzkich, dążąca ku ideałowi wytworzenia raju ziemskiego na tym dotychczasowym „padole płaczu" i „zgrzytania zębów". Niechaj tylko trzeźwość zawita w miejsce pijaństwa powszechnego (prof. był wrogiem trunków alkoholowych), a miłość, altruizm, tolerancja zastąpią nienawiść, egoizm, fanatyzm; prawda zaś i wiedza niech zasiądą na tronie myśli i czynów ludzkich, — a stanie się cud, nad wszelkiemi cudami górujący, przeistaczający człowieka zwierza w człowieka anioła. Taki ideał, sercem odczuty i pojęty, nie jest utopją, — prędzej czy później stanie się rzeczywistością wśród człowieczeństwa, ku temu boskiemu ideałowi zwracajmy nasze myśli stale, a do nich stosujmy nasze czyny, dążące do odrodzenia ludzkości" (str. 325).

Przebija tu, tak znamienna dla owych czasów, wiara we wszechmoc nauki, która miała decydować w ostatniej instancji o doskonaleniu człowieka, „kierować jego nieumiejętnościami" — jak się wyrażali niektórzy ówcześni powieściopisarze nasi — leczyć go z jego ułomności i uczynić istotą aniołom podobną. Podobnie szczytne złudzenia żywił nasz badacz przyrody, a żywił je nietylko dlatego, iż był przekonany, że „cud nauki góruje nad wszelkiemi cudami", lecz i wskutek szlachetności swojej natury.

W stosunkach swoich ze światem żyjących, gdzie mógł i jak mógł, stosował prof. B. Dybowski zasadę altruizmu i miłości, zgodnie z owym „boskim ideałem" odrodzenia ludzkości, w którego urzeczywistnienie za sprawą nauki uwierzył.

Ta strona jego oblicza duchowego odsłania się w „Pamiętniku" wszędzie tam, gdzie opisuje swoje czynności jako tego, co powołany jest do niesienia ulgi cierpiącej ludzkości, był bowiem także lekarzem.

Ten doktór medycyny, dorpackiego i berlińskiego uniwersytów, rzucony przez los w puszcze i wertepy Sybiru, śpieszył na każde wezwanie — nieraz wystawiając siebie na niebezpieczeństwa rozmaite — z bezinteresowną zawsze pomocą lekarską, z jednakową troskliwością zabiegał dokoła wszelkiego rodzaju chorych, bez względu na ich stanowisko społeczne, — pomagał ciału i krzepił ducha, — a tyle w tem okazywał współczucia dla człowieka cierpiącego, że zasłynął i na tem polu wśród różnorodnych mieszkańców Syberji i pozyskał ich wzajemną miłość.

Można nawet twierdzić, że wskutek niej oraz wdzięczności mieszkańców za pomoc niesioną im w chorobie, mógł rozszerzać zakres swoich badań i poszukiwań naukowych, wszędzie bowiem chętnie dopomagano mu w tej pracy, odwzajemniając się w ten sposób za dobro — dobrem.

Ludzie prości, których ratował w nieszczęściu, nazywali go „zbawcą", — ludzie o wyższym poziomie umysłowym składali sobie o nim, obserwując jego czyny i życie, tego rodzaju wyobrażenie: „Zimą 1874 roku — wspomina go ktoś z jego licznych znajomych syberyjskich — wnosił rozmaitość w nasze życie, przybyły do nas w gościnę, znany uczony, ornitolog Dybowski. Był to jeden z najbardziej interesujących ludzi, spotykanych przezemnie kiedykolwiek. Zawsze skromnie i czysto ubrany, dość wysoki, zdrowo wyglądający szatyn, w całem znaczeniu tego słowa urodziwy, sprawiał takie wrażenie, jakby nigdy siebie nieoglądał w lustrze i dlatego nie był świadom swej urody. Spokojny, zrównoważony filozof, wysoce wykształcony, Dybowski jakby nie czuł swojej wyższości nad tymi, z którymi się stykał, i chętnie brał udział w każdej najzwyklejszej rozmowie. A gdy opowiadał o swoich badaniach, to zdawało się, że się czyta najbardziej zajmującą książkę... Nauka oraz pomoc chorym *„inorodcom"* i okolicznym kozakom zastępowały mu tu wszystko w życiu. Nigdy nie widziałam go smutnym, nie słyszałam, żeby kiedy uskarżał się na swoją dolę. Po rozmowie z nim robiło się lżej na duszy, i zdawało się, że wszystko w życiu jest czemś znikomem i marnem, — oprócz idei, kierującej człowiekiem".

Zostały tu nader trafnie uwydatnione zasadnicze rysy, nietylko fizycznej, lecz i duchowej postaci profesora Benedykta Dybowskiego, ujęta pełnia jego człowieczeństwa.

Wieje z tej postaci jakaś moc spokojna i niezawodna, nie manifestująca się nazewnętrz jaskrawo i efektownie, nie popisująca się wartościami posiadanemi; moc ducha, na którym nie znać żadnej skazy, będącej wynikiem zwątpienia i niewiary, osłabienia bezcelowością życia woli, oraz zatrutej rozczarowaniem do świata i ludzi — myśli.

W istocie uosobieniem tego rodzaju mocy był w ciągu swego niezwykle długiego żywota, prof. B. Dybowski; był tym, którym zawsze kierowała idea, co nadaje sens życiu ludzkiemu i podnosi jego znaczenie.

Idea prosta, być może czerpiąca przeświadczenie swojej prawdy z przyrodniczego poglądu na świat tego, który ją piastował, niemniej jednak i z moralnego poczucia, — jakim należy być i jak postępować, by spełnić na ziemi swoje zadanie człowiecze.

Idea, która kierowała życiem naszego znakomitego „Sybiraka", da się wyrazić w ten sposób: wszędzie i zawsze, we wszelkich okolicznościach, nie zapominaj, że jesteś człowiekiem, to znaczy w niczem nie uchybiaj swemu człowieczeństwu.

Tego nakazu moralnego przestrzegał prof. B. Dybowski, bez względu na dodatnie bądź ujemne uczucia i namiętności, jakie mógł żywić wobec rzeczy i ludzi.

Przyrodnik, czciciel nauki, dopełniał się tu człowiekiem etycznym: pierwszy badał, poznawał, wyrabiał sobie przyczynowy punkt widzenia na sprawy życia, na jego zło czy dobro; drugi — wyrozumiewał, usprawiedliwiał, wnosił w stosunki pierwiastek twórczy czynnego współczucia i dobroci.

Powyższą ideą regulowane życie jednostki, w istocie sprawiało wrażenie, iż tu ona kieruje świadomie swemi namiętnościami, że kocha „po ludzku", nie czyniąc z przedmiotu miłości ofiary własnego egoizmu, i także niemiłuje „po ludzku", t. j. bez pokazywania kłów i miażdżenia czaszki istoty nielubianej.

Równowaga sił ducha, wynik rzetelnego poznania oraz sprawiedliwości uczuć, charakteryzuje życie Benedykta Dybowskiego.

Ona to uczyniła nad wyraz wydajnem jego istnienie, wzmogła jego przyrodzoną żywotnoś

tak, że przetrwał liczne burze swego żywota, nietylko nie ponosząc żadnego szwanku, lecz wznosząc się wśród nich coraz wyżej!

Przyglądając się temu nieustannemu wznoszeniu się skazańca syberyjskiego, jak to nam umożliwia jego „Pamiętnik", przychodzą na myśl słowa naszego wielkiego poety: „Jest jakaś siła, co podnosi czoła północnych ludzi, gdy po świecie wicher nieszczęścia ich jak liśćmi miota — zniszczyć nie może"!

Dobitnem stwierdzeniem cnoty tej siły był żywot znakomitego przyrodnika polskiego.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

MICKIEWICZ A MORD RYTUALNY

NIEDAWNO toczyły się w prasie dwie pamiętne polemiki. Pierwsza dotyczyła domniemanego zamordowania Mickiewicza przez jakichś „nieznanych sprawców" czy też, coby było bardziej w danym wypadku prawdopodobne, przez jedną z osób z jego najbliższego otoczenia w owym czasie. Druga polemika miała za temat znane każdemu wiersze „Pana Tadeusza" (Ks. VIII, w. 668 — 670):

„...wszystkich zagłuszył w r z a s k Zosi,
Która k r z y c z a ł a, Sędzię objąwszy rękami,
J a k o d z i e c k o, o d Ż y d ó w k ł ó t e i g i e ł k a m i".

Przez całe sto lat nikt nie wątpił, że słowa te są aluzją do uprawianego podobno przez żydów — i w tylu świadectwach historycznych wzmiankowanego — mordu rytualnego. Dopiero niedawno na łamach „Kurjera Porannego" niejaki dr. Markus Rapaport zaczął Polaków pouczać, że nie znają gramatyki polskiej, bo przecie to „dziecko od żydów", to znaczy tyle, co „bachurek" (tak dzieci żydowskie nazywał Mickiewicz), a pozatem „od" nigdy nie bywa używane przy czasowniku w stronie biernej, jako że się używa wtedy przyimka „przez". Te i tem podobne brednie, świadczące, że dr. Markus Rapaport oblałby się z gramatyki polskiej już na pierwszym roku studjów polonistycznych, słusznie wyśmiano w n-rze 17 „Myśli Narodowej". Zbyt pobieżnie zajęto się natomiast „pozytywną" tezą p. Markusa, jakoby owo „kłucie igiełkami", stosowane przez żydów do dzieci, oznaczało nie mord rytualny, lecz niewinne przekłuwanie „uszek" nowonarodzonym dzieciom... żydowskim.

Już nie wchodzę w to, że wnuczka Horeszków Zosia nie jest dzieckiem żydowskiem, lecz polskiem i chrześcijańskiem, i że dziecko nowonarodzone nie wydaje takiego w r z a s k u, któryby zagłuszył wszystkie krzyki licznie zebranego tłumu („tysiąc głosów wrzasło", pisze Mickiewicz, wspominając także palbę z rusznic oraz tętent konnicy na moście), oraz że niezdolne jest jeszcze tulić się do kogokolwiek, „objąwszy rękami", by uchronić się przed zagrażającem niebezpieczeństwem... O taką przezorność i inteligencję trudno zaiste posądzać n o w o n a r o d z o n e „bachurki", choćby i tego „małego Jankielka", którego powiła Siora Jankielowa...

Ale i to wszystko pomijam. Chcę tylko wspomnieć fakt, dobrze znany każdemu, ktokolwiek wczytywał się w różne kroniki dawne, zarówno polskie jak niemieckie, zwłaszcza zaś włoskie i francuskie. Nieraz one opisują różne wypadki żydowskich mordów rytualnych oraz procesy sądowe, stąd wynikłe. W opisach tych najczęściej powtarzają się dwa motywy. Zbrodniarze żydowscy, dokonywający mordów rytualnych, albo w y c i n a l i s w o i m o f i a r o m k a w a ł ż y w e g o m i ę s a (motyw powtarzający się w kronikach włoskich i francuskich, stąd wzięty do powieści i dramatu angielskiego, m. in. do „Kupca weneckiego" Szekspira), albo też k ł u l i j e i g ł a m i, by wytoczyć krew chrześcijańską do macy, używanej na paschę. Poprzestanę na przytoczeniu jednego tylko źródła, które chyba najlepsze światło rzuci na sprawę owych i g i e ł e k ż y d o w s k i c h w „Panu Tadeuszu". Źródłem tem jest dzieło tak powszechnie znane, bodajże najpoczytniejsze dzieło literatury staropolskiej — „Żywoty Świętych", napisane przez ks. Piotra Skargę.

W dziele tem, pod datą 30 marca, jest opowiedziane „Męczeństwo pacholęcia Symona trydeńskiego, od żydów umęczonego, pisane o d d o k t o r a Jana Macieja Tyberyna do senatu Bryxji". Pod tytułem tym dodaje Skarga datę: „cierpiał Roku Pańskiego 1475" i źródło życiorysu: „*Surius, tomo 2*". Zaczyna się opowieść jak następuje:

„W Trydencie mieście, które włoską ziemię od niemieckiej dzieli, były trzy domy żydowskie tych gospodarzów: Jakóba, Aniela i Samuela. Ci w ten wielki tydzień przed Wielką nocą we wtorek zeszli się w dom Samuela i między innemi rozmowami Aniel rzecze: „Wszystko mamy na to święto, ryby, mięso, ale nam jednej rzeczy niedostaje". Odpowiedział Samuel: „A czego niedostaje?" Tedy jeden na drugiego wejrzawszy, dali sobie znać, iż im niedostaje chrześcijańskiej krwi, albo dziecią̨tka chrześcijańskiego na ofiarę, które oni na wzgardę Chrystusowi Panu naszemu srodze zabijają, gdy mogą, i krew z niego wytoczywszy, przaśnicy z nią używają, aby od smrodu, którym od przyrodzenia śmierdzą[1]), tą krwią chrześcijańską wolni byli, i zowią tę krew Joel, to jest jubileusz".

Po wielu usiłowaniach udało się słudze Samuela, żydowi Tobjaszowi, schwytać półtrzecialetniego Symona, syna Trydentczyków, Andrzeja i Marji, i ukryć go w domu Samuela.

„Tej nocy" — pisze dalej Skarga — „wszedłszy żydzi do przysionku, wielce się radowali z onej ofiary. I wziąwszy ono niewinne pacholę, żyd Samuel szatki z niego zwlokł i gardłeczko chustą zaciągnąwszy, i ustka, a b y n i e w r z e s z c z a ł o zatuliwszy, kazał go innym za nóżki i rączki rozciągnąć, nad miską szeroką dobywszy noża p r z e k ł ó ł trochę gardła dziecinnego, i potym wziąwszy nożyczki siekał twarz jego. I w y k r o i w s z y c z ę ś ć m i ę s a kładł na misę, a potym drugiem nożyczki podał... aż wszystkich starszych obeszło. Gdy to odprawili, Samuel wziął prawą nóżkę dziecinną i pod kolanem także jako i z t w a r z y m i ę s o ż y w e o n e m i n o ż y c z k a m i odstrzygali, każdy z osobna, nożyczki sobie podając. Potym Tobjasz, on zdrajca, siadszy wedle Samuela, d z i e c i ą t k o już napół żywe podać sobie kazał i z n i m j e n a k r z y ż r o z c i ą g n ą w s z y, k a ż d e m u ż y d o w i d w i e m a i g ł a m i k ł ó ć d z i e c i ą t k o k a z a l i; t e d y p o c z ą w s z y o d g ł o w y a ż d o n o g i k ł ó l i srodze ono d z i e c i ę a wołali: „Jakośmy Jezusa, Boga Chrześcijańskiego, zabili, tak i tego zabijmy, niech tak nieprzyjaciele nasi na wieki pohańbieni będą!" I tak przez godzinę na onej męce dziecię trwając, umarło, Boga tylko samego na świadectwo mając".

Zbrodnia owa jednakże się wykryła dzięki nieostrożności żydów, którzy trupa swej ofiary rzucili do rzeki. Zamykając tę opowieść nadmie-

[1]) O *foetor judaicus* — smrodzie naturalnym żydów — piszą ze zgodną odrazą pisarze greccy i rzymscy.

nia Skarga, że podobny zupełnie wypadek mordu rytualnego miał miejsce za jego czasów, Roku Pańskiego 1574, w miasteczku Punia, dwanaście mil od Wilna, nad rzeką Niemnem, z tą tylko różnicą, że winowajca, żyd-arędarz Joachim Smerlowicz, dokonał owej zbrodni niemal jawnie — i że dzięki demoralizacji polskich sądów zbrodnia ta, acz udowodniona własnym wyznaniem Smerlowicza, uszła mu bezkarnie.

Skarga nie był bynajmniej „żydożercą". Odnosił się do narodu żydowskiego z wielką litością i współczuciem, osłaniał go przed napaściami, sławił nawet zasługi tego narodu wybranego, zestawiając jego dzieje i rolę z dziejami i rolą narodu polskiego, co stało się wszak punktem wyjścia dla naszych późniejszych mesjanistów: Starowolskiego, Wesp. Kochowskiego, Woronicza, a nadewszystko Mickiewicza, który tak w „Dziadach" drezdeńskich (zwłaszcza przez usta imiennika Skargi, ks. Piotra), jak w „Księgach Pielgrzymstwa" i „Pielgrzymie" nieraz żywcem Skargowskie myśli i słowa powtarzał. Ale zbrodni żydowskich nie mógł Skarga pochwalać i sankcjonować. Dlatego to przecie założył „Arcybractwo Miłosierdzia" i „Bank Pobożny", żeby przeciwdziałać panoszącej się potwornej lichwie żydowskiej, popieranej, niestety, i naśladowanej przez niektórych możnowładców polskich. W swych „Żywotach Świętych" starał się wszędzie być jaknajbardziej objektywny i krytyczny, pisał tonem spokojnym (daleko spokojniejszym, niż w jakiemkolwiek ze swych dzieł), powściągliwie, a każdy podany przez siebie fakt popierał odsyłaczami do źródeł. Nie może więc być mowy o jakiemkolwiek „judzeniu" przeciw żydom we wspomnianych „Żywotach", ani też w żadnem dziele innem Skargi.

Jak rozczytywał się Mickiewicz w dziełach Skargi, jak je zgłębiał, miłował i podziwiał, o tem wie każdy czytelnik prelekcyj paryskich; wszak Skardze poświęcony jest jeden z najpiękniejszych i najgłębszych wykładów (25 czerwca 1841 r.). „Żywoty Świętych" czytywał jeszcze Mickiewicz w domu rodzicielskim, zwłaszcza, że były naówczas na Litwie łatwiej niż gdzieindziej dostępne, skoro właśnie w Wilnie, w drukarni królewskiej przy Akademji (przez Skargę założonej), niedawno przedtem je „reimprymowano" (w r. 1780 etc); rozczytywało się w tych żywotach także i koło zbierające się przy Mickiewiczu na emigracji (Zaleski, Witwicki, Jański, Kajsiewicz). Nie należy jednakże mniemać, jakoby wiadomość o mordach rytualnych żydowskich Mickiewicz mógł był przejąć tylko od Skargi. Szczegółów podobnych do zdarzenia w Trydencie, czy w Puni, dostarczała naszemu poecie przedewszystkiem żywa tradycja lokalna. O mordach tego rodzaju (np. o wrzucaniu dzieci chrześcijańskich do beczki nabitej gwoździmi) opowiada podziśdzień lud wiejski w całej Polsce, zresztą nietylko w Polsce, boć analogiczne opowiadania krążą w Anglji, we Włoszech, w Rumunji i Rosji, o czem wie dobrze każdy etnograf. Od nianiek i od ludu napewno nasłuchał się takich opowiadań Mickiewicz, dlatego to z takim lękiem, jako chłopak, wyjeżdżał z rodzinnego gniazda na wózku, powożonym przez żyda, którego ponadto (może nie bez powodów?) podejrzywał o chęć przywłaszczenia sobie jego pieniędzy.

(Dok. nast.) FEL. LACH

MODLITWA O ŚMIERĆ SZCZĘŚLIWĄ

Pamięci kochanego Dziadka,
Bartosza Roszkowskiego.

PAMIĘTAM po dziś dzień każdy szczegół tego pokoju. Dwa okna, przez które latem wdzierały się wścibskie pędy dzikiego wina i lilij, których wielka grzęda zieleniała pod samym domem. Później przesadzono je dalej. Wtedy nie raziła nikogo ich słodka, wieczorna modlitwa, odmawiana zresztą przez taki krótki okres lipcowych, upalnych nocy. Dziadzio lubił te kwiaty podwójnie: za ich piękny kształt i za to, że były symbolem czystości. Całe ich naręcza — w pełnym rozkwicie — szły do parafjalnego kościołka na przyozdobienie ołtarza.

Pod jesień w pokoju dziadzia królował zapach jabłek. Codziennie panna Teresa zaparzała wonne łupiny w porcelanowym dzbanku. Był to ulubiony przez dziadzia napój. Nietylko sam się nim delektował, lecz uprawiał szeroko propagandę tego swojskiego jabłecznika:

— Pokosztuj, duszko, — mówił — przekonasz się, jakie to zdrowe i smaczne...

Nieśmiertelniki, okalające fotografje drogich Zmarłych, miały woń kurzu i słomy. Pozatem swoisty zapach posiadał każdy mebel: mahoniowa ogromna sekretera, której górna część, w kształcie szafki, kryła dziadziowe skarby; różne pamiątki, pieniądze i drobiazgi. Osłaniało je, zamiast kłódek i zamków, błogosławieństwo papieskie, wypisane na pięknym sztywnym kartonie. Dziadzio wogóle miał swoiste metody bronienia się przed złoczyńcami. Wyjeżdżając z domu, zwykł był wypisywać kredą na drzwiach swego pokoju: „W imię Boże — stójcie!"

I — dziwna rzecz — przez lat pięćdziesiąt z okładem nikt nie spróbował wtargnąć do tego dworu, gdzie główne wejście zabezpieczał bardzo prymitywny haczyk żelazny, zrobiony przez miejscowego kowala.

Sekretera pachniała więc starem drzewem, staremi papierami, zadomowieniem kilku pokoleń. Kanapa czeczotkowa — końskiem włosiem, które obficie wyłaniało się na rogach przetartych. Ubranie dziadzia było zato kwintesencją wszystkich tych woni, z dodatkiem niekoniecznie najlepszego tytoniu. Odkąd bowiem wszystko zaczęło drożeć — czasy wojny! — dziadzio kupował coraz lichsze tytonie i do końca życia nie mógł się pogodzić z ich „horrendalnemi" cenami.

Dzień powszedni, uregulowany jak w zegarku, zaczynał się od porannych pacierzy, odmawianych zwykle z panną Teresą. Staruszek lubił najbardziej wspólne modlitwy. Przecież Chrystus wyraźnie powiedział: „Gdzie dwu lub trzech się zejdzie w imię Moje..." Zwolenników nabożeństw

werbował przeważnie spośród służby. Ta zawsze chętnie schodziła się nietylko na „Maj", albo na „Październik", — albo odmawiała z dziadziem nowenny na intencje specjalne...

Te nowenny stawały się niekiedy uciążliwe, w czasie żniwa lub sianokosu. Dziewczyny, miast pomagać przy zwózce, klęczały rzędem w ogromnym przedpokoju, powtarzając bez końca „módl się za nami", a za oknem czerwcowe niebo groziło ulewą... Dziadzio tłumaczył nam cierpliwie:

— Pół godzinki siana nie wyratuje, a modlitwą, miłą Bogu, może uprosimy Jego łaskę i pomoc.

Po południu dziadzio zamykał się w swoim pokoju. Nie lubił wtedy, aby mu przeszkadzano, lecz intruza witał życzliwie, częstował jabłecznikiem, prosił siadać na czeczotkowej kanapie:

— Zaczekaj, duszko — mówił — zaraz skończę.

Owego dnia — pamiętam, że w pokoju pachniało cząbrem, czyli tak zwaną pospolicie macierzanką, — znudziło mi się czekać i oglądać wciąż te same obrazki na ścianach. Przystanęłam za dziadziowym fotelem.

Pochylony nad biurkiem, dziadzio przepisywał z pamięci ulubioną swą modlitwę. Odmawiał ją codziennie głośno wraz ze mną przy wieczornym pacierzu. Odnalazłam dobrze znajome słowa:

„Panie, ostatek dni moich daj cnotliwy i pożyteczny! Oddal odemnie śmierci lęk, daj ochoczą na śmierć gotowość.

Zdarz mi skon szczęśliwy i żywot wieczny w połączeniu z ukochanymi moimi i drogimi sercu mojemu.

Jezus, Marja, Józef święty niech będą w myślach moich, na ustach moich, i w sercu mojem w chwili skonania mojego..."

Dziadzio odłożył pióro. Mimowoli spytałam:

— Dla kogo dziadzio to przepisał?

Uśmiechnął się:

— Może dla ciebie? Jeżeli chcesz...

Bąknęłam coś, że umiem przecież tę modlitwę na pamięć. Dziadzio odezwał się po chwili:

— Nie wiem, czy mię Pan Bóg zechce wysłuchać, ale pragnąłbym umierać przytomnie, pożegnać wszystkich, pobłogosławić was...

Zawsze cierpiałam, gdy dziadzio mówił o śmierci. A w ostatnim roku czynił to często i nie lubił, aby mu przerywano:

— Stary jestem, czas w drogę... Trzeba się do niej powolutku sposobić, aby śmierć nie zaskoczyła znienacka...

Wskazał zawieszoną nad łóżkiem gromnicę:

— Podasz mi ją, duszko, gdy przyjdzie pora. I jeżeli mi sił, lub głosu zabraknie, powiesz: „Oddal odemnie śmierci lęk, daj ochoczą na śmierć gotowość... Zdarz mi skon szczęśliwy..." Może Bóg nas wysłucha.

Tak sobie dziadzio wyobrażał szczęśliwą śmierć: we własnym domu, w otoczeniu najbliższych, aż do końca przytomnie, z zapaloną gromnicą w ręku, z modlitwą i błogosławieństwem na ustach.

W małym pokoju, gdzie nie było żadnego z przedmiotów, do których przywykł przez ośmdziesiąt zgórą lat, nikt nie podał dziadziowi gromnicy. W małym pokoju, w obcem mieście — był tylko dziadzio i — Bóg.

Tam, na Kresach, bolszewicy rąbali staroświeckie czeczotki na podpałkę, a kartki z szafy bibljotecznej fruwały po dziedzińcu zamiast wystraszonych gołębi. Rabaty kwietne przed domem, wyjątkowo bujne owego lata, wbito w ziemię kozackiemi butami. Zielone łodygi lilij nie podniosły starganych koron. Ule pokotem leżały w trawie, puste. Młode roje uciekły do pobliskiego lasu. Mieszkańcy dworu tułali się w przebraniu po okolicznych wioskach. Niejednego już nazawsze zabrakło...

O tem wszystkiem dziadzio miał się dowiedzieć znacznie później — ósmego września. Był to dzień Narodzenia Najświętszej Panny. Wczesnym rankiem poszedł staruszek do kościoła, gdzie tradycyjnie, jak w każde święto Matki Boskiej, przystąpił do spowiedzi i do Komunji świętej. Miasto było obce, obcy wokoło ludzie, ale Pan Bóg, utajony w Najświętszym Sakramencie — ten sam.

Nad wieczorem dopiero zjawił się dziadzio uśmiechnięty, rozpromieniony. Opowiadał z ożywieniem, jaki piękny miał dzień: odwiedził znajome Marje, spotkał kilku starych przyjaciół...

Bardzo był z tego powodu szczęśliwy. Gdyby jeszcze można wkrótce wrócić do siebie, do swoich starych kątów i uścisnąć dawno niewidzianych, kochanych...

Szepnął mi do ucha:

— Modliłem się dziś na intencję szczęśliwego i rychłego powrotu. Matka Boża mi to wyjedna...

— A dziadzio tylko marzy, aby od nas jaknajprędzej uciec! Ślicznie! Dziadzio nas już wcale nie kocha? Tak tu dziadziowi z nami źle?

Patrzył z niepokojem, czy mię aby naprawdę nie zasmucił. Nie chciał, broń Boże, nikomu sprawić przykrości, zwłaszcza w tak uroczystym dniu.

— Bardzo mi z wami dobrze, ale widzisz, duszko... I dla was kłopot... i chciałoby się już swoich zobaczyć... Tęskno...

— A mnie to nie będzie tęskno za dziadziem? Co dziadziu?

— Jak zatęsknisz, to prędzej przyjedziesz. Będę tam czekał na ciebie, duszko moja.

Tego dnia wybieraliśmy się jeszcze z wizytą. Dziadzio po namyśle zdecydował, że położy się wcześniej. Był to przemiły, lecz trochę męczący dzień...

— Ale dziadzio dobrze się czuje? Może dziadzio chce, żebym z dziadziem została?

— Brońże Boże! Idźcie, a ja tu sobie sam posiedzę. Tylko jeszcze pacierze odmówię i pójdę spać. Dowidzenia.

Takie były ostatnie jego słowa. Wracając o północy do domu, czułam dziwny niepokój i smutek. Wiedziałem, że jutro, pojutrze, najdalej za tydzień, trzeba będzie dziadziowi powiedzieć prawdę... Jakże mu to powiemy? „Dziadziu, dom rozgrabiony, a Jasia — bolszewicy zamordowali"...

Bóg mu to powiedział — nie my. Dziadzio już od godziny leżał nieruchomo na boku i spał. Prawa ręka przyciskała małą, czarną książeczkę. Oczy były zamknięte i nie miały się już otworzyć. Usta, wpół rozchylone, zdały się mówić jeszcze:

„...żywot wieczny w połą zeniu z ukochanymi moimi i drogimi sercu mojemu"...

WANDA MIŁASZEWSKA

NA WIDOWNI

Wspomnienia poety żydowskiego o Łodzi — O żargonie i chałacie — Obyczaj Geldhaba i Eierweissa. — Filosemityzm czy... antysemityzm.

NAWET wysoko ucywilizowani żydzi ujawniają pewne cechy psychiczne, których normalny Europejczyk nie jest zdolny polubić, czy choćby — zrozumieć. Najwybitniejszy dziś poeta żydowski, p. Juljan Tuwim, w najpoczytniejszym tygodniku żydowskim: „Wiadomości literackie" (nr. 33 z dn. 12 sierpnia r. b.), w artykule p. t. „Wspomnienia o Łodzi" zamieszcza następujący *passus*:

„...I straszne mnóstwo czarnych „uniformów" żydowskich. Ich nosiciele używają poczwarnej, charczącej mowy, znowu napół niemieckiej. Daleki oczywiście od antysemityzmu, zawsze byłem, jestem i będę przeciwnikiem umundurowanych brodaczy i ich hebrejsko-niemieckiego bigosu oraz tradycyjnego kaleczenia mowy polskiej. Najwyższy czas, panowie, obciąć długopołe kaftany, i kręcone pejsy, a także nauczyć się szacunku dla języka narodu, śród którego mieszkacie. Czarna hałastra chasydzka została we wspomnieniu o dawnej Łodzi jak koszmar".

Oczywiście, bez zastrzeżeń ufam zapewnieniu p. Tuwima, iż jest on „daleki od antysemityzmu". Równie daleki, jak ja np. — od antypolskości. Niemniej atoli przytoczony ustęp niejedną może nastręczyć uwagę.

Przedewszystkiem, tracąc spokój na myśl o „Hitlerji", zbyt jednostronnie widzi w żargonie p. Tuwim denerwującą dziś dla siebie niemczyznę, nie zauważa, jak dalece *„jiddysz"* jest żydowski, nietylko z nazwy, ale z ducha, ze sposobu, w jaki się uformował. Żargon — to właściwie rodzaj „słopiewni" [1]). W jednem i w drugiem uzewnętrzniła się ta sama cecha duszy żydowskiej, ta sama, tak charakterystyczna dla niej, postawa moralna: brak szacunku, bezceremonjalność w stosunku do rzeczy cudzych, w tym wypadku — do języka narodu, wśród którego się mieszka. Masy żydowskie ani spostrzegły się, że stworzyły nowy język, gdy „po swojemu" zaczęły posługiwać się mową niemiecką, p. Tuwim również ani się spostrzegł, jak mu się napisały „słopiewnie", gdy „po swojemu" gospodarzyć zechciał polskim literackim. Ale ta właśnie wspólność gestu wewnętrznego czyż nie powinnaby uświadomić poecie, gdzie jego droga, w jakim języku indywidualność jego mogłaby się wypowiedzieć najpełniej, znaleźć narzędzie najbardziej odpowiednie swojej psychice twórczej i jej potrzebom?

Równie niesłuszna, jak jego stosunek do żargonu, jest pogarda p. Tuwima wobec chałata. Estetyki stroju nie można przecież oceniać w sposób oderwany, niezależnie od osoby, która go wdziewa. „Powab jest inny dla matrony" — że użyję tu wyrażenia norwidowskiego — inny znowu dla kilkunastoletniej dzieweczki. Komuś przystoi kontusz, drugiemu *pyjama*. Pan Tuwim nie wyobraża sobie nawet, jak powabnie wyglądałby w czarnym, dobrze skrojonym chałacie, z porządnego szewiotu, uszytym przez pierwszorzędnego krawca. Zwłaszcza gdy całość uzupełniałaby elegancka mycka, z pod której, tradycyjnym obyczajem, zwieszałyby się, starannie i wytwornie, w najlepszym zakładzie fryzjerskim stolicy „ondulowane" pejsy. Nie przypuszcza, jak swobodnie sam czułby się w takim stroju, jak harmonizowałby on z każdym jego ruchem, jak ciekawą, charakterystyczną linją zaznaczałby każdy, mimowolny jego gest czy pozę. P. Tuwim w chałacie stanowiłby model, godny niemal pendzla Rembrandta, gdy, w ubiorze europejskim, zasługuje conajwyżej na portret, malowany przez Kramsztyka...

I tutaj dochodzimy do sedna sprawy: autor „słopiewni" bezwątpienia jest „daleki od antysemityzmu", ale posiada umysłowość pana Geldhaba. Za wszelką cenę chciałby znaleźć się poza środowiskiem, z którego pochodzi. Nagwałt szuka sobie koligacyj w innej sferze (przykładem: „Rzecz czarnoleska"). Z wymuszoną swobodą daje do zrozumienia, iż na żydostwo umie spojrzeć zzewnątrz, okiem krytycznem, że właściwie potrafi o niem mówić bezstronnie, jak o czemś sobie obcem, nawet niemiłem („poczwarna, charcząca mowa", „czarna hałastra chasydzka" i t. d.). Nie spostrzega, iż to dopiero właśnie czyni go postacią typową, wprost klasyczną, jak ów żydek ze znanej anegdoty: — „Panie Eierweiss, czy pańska żona jest przystojna?" — „Jak dla kogo; m n i e się nie podoba"...

A tutaj również widoczna jest owa przepaść, która rozdziela psychikę naszą od żydowskiej. Bo i narody europejskie różnią się z sobą językiem, obyczajem i t. d., a jednakże mogą się zrozumieć wzajemnie, bo ich stosunek do ojczyzny, tradycji, przeszłości jest mniej więcej jednakowy, moralnie pokrewny. Żydzi dopiero wprowadzają nas w inny świat, inny obyczaj, gdzie przyzwoite jest wypierać się nazwiska swej rodziny, gdzie nawet syjonistyczny autor, współpracownik syjonistycznego „Naszego Przeglądu" nie ma skrupułów pisać dla czytelników polskich pod szlacheckim pseudonimem: Janusz Korczak.

P. Tuwim stwierdza, że nie jest antysemitą, ja posunę się jeszcze dalej, mogę rzec, iż jestem filosemitą w tem znaczeniu, w jakiem normalnie okazują ludzie życzliwość w stosunku do jakiegoś narodu. Chcę mianowicie, żeby żydzi zachowali swój typ odrębny, swój język i obyczaj, żeby nie roztopili się w narodach, wśród których mieszkają. Pragnę, żeby zrodziło się w nich poczucie godności osobistej, honoru, nie pozwalające kryć swego żydostwa i udawać, nie pozwalające gardzić mową i zwyczajem swych dziadów, wstydzić się swoich prawdziwych nazwisk lub imion. Życzę im szczerze, by poczuli szacunek dla siebie samych, który wyperswadowałby im wtrącanie się — choćby za cenę upokorzeń — w cudze sprawy, by zaniechali wciskania się w nieswoje środowiska, tak, jak już Fredro życzliwie ostrzegał przed śmiesznością — poetkę [2]), Florcię Geldhabównę...

[1]) P. Tuwim napisał serję utworów rymowanych p. t. „Słopiewnie". Dla przykładu przytoczę jeden (Juljan Tuwim: „Wiersze zebrane", Warszawa, 1928, na stronicy 320):

„W białodrzewiu jaśnie dźni słoneczno
Miodzie złoci białopałem żyśnie,
Drzewia pełni pszczelą i pasieczną,
A przez wiśnie kraśnie pęk słowiśnie.

A gdy sierpiec na niebłoczu łyśnie..."

i t. d., i t. d.

Wiersz nosi nazwę „Słowisień".

[2]) W komedji Fredry, Pan Geldhab temi słowy charakteryzuje zdolności rymotwórcze swojej córki, którą pragnie wydać za Księcia:

„Czasem mówię żartując: Florciu powiedz odę
Naprzykład na ten czarny stolik lub komodę.
Wnet dwieście wierszy utnie nad czarnym stolikiem"...

Ale to może jest w gruncie rzeczy pragnieniem, ażeby żydzi przestali poprostu być żydami, stracili to, co stanowi istotę żydowszczyzny, stokroć ważniejszą, niż żargon, chałat, i wszystkie inne, zewnętrzne akcesorja? Czy to może nie jest... a n t y - semityzm?...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

SUWERENNOŚĆ NARODOWA JEST DOBREM BEZCENNEM; wiemy o tem wszyscy, a jednak nie umiemy uprzytomnić sobie niektórych dobrodziejstw, płynących z tej naczelnej zasady ustroju społeczności międzynarodowej. Konieczna dla życia narodu jest jego niepodległość własna; ale korzystne dlań wielce jest to także, że obok niego istnieją inne narody niepodległe. Przez to samo jego własna niepodległość jest pełniejsza. Wyobraźmy sobie, że jeden naród rozciągnął swoje panowanie na całą kulę ziemską i swoje własne państwo uczynił państwem światowem. Wszystko jedno, czy stworzone na zasadzie podboju, czy jakiejkolwiek innej, państwo światowe, jeśli ma być istotnie państwem, nie zaś niekontrolowaną gromadą narodów niepodległych, musiałoby najdoskonalej ucieleśnić znany „państwowcom" ideał silnego rządu. Musiałoby być najbardziej policyjnem i najbardziej kłamliwem ze wszystkich państw, jakie świat widział. W niewidzianej bodaj dotychczas mierze musiałoby polegać na monopolistycznej i natarczywej propagandzie i reklamie politycznej. Przy ich pomocy uczyłoby swych obywateli standardyzowanej historji, fałszywych legend i ujednoliconej, pompatycznej bzdury — i cały ten system urzędowego kłamstwa utrwalałby się beznadziejnie, zagłuszając w ludziach do reszty zmysł prawdy i poczucie proporcji.

Refleksje o pożytkach, wynikających z samego faktu współżycia narodów niepodległych obok siebie, przychodzą teraz na myśl, kiedy się wspomina zakończony niedawno światowy zjazd Polaków z zagranicy. Polak, urodzony i mieszkający stale zagranicą (a nie na obszarze dawnej Polski), z natury rzeczy mniej musi mieć ojczyzny w duszy, niż Polak u siebie w kraju wzrosły i wychowany. A przecież emigracja, nawet ta osiadła w dalekich i obojętnych państwach, jest cennem pod pewnym względem uzupełnieniem współczesnych elementów polskości. Można się tam wynarodowić, ale ci, co przyjeżdżają do ojczyzny na zjazdy światowe, nie są wynarodowieni. Czy zaś niepodległość narodu uszczupla się przez to, że pewna liczba rodaków korzysta z warunków większej swobody myślenia o rzeczach ojczystych? Że łatwiej widzi rzeczy w proporcjach innych, niż suggerowane przez usilną propagandę od wytwarzania złudzeń? Czy ta niezależność od wpływów propagandy bieżącej jest ze stanowiska ogólnych interesów cywilizacji narodowej—szkodliwa? Niema chyba wątpliwości, iż rzecz się ma przeciwnie.

Istotna niepodległość narodu nie cierpi na tem, że synowie jego myślą o sprawach publicznych niezależnie. Polak z zagranicy, nie poddający się namowom najhałaśliwszych głośników i megafonów, właśnie bliższy może być ducha cywilizacji narodowej. Nie będzie to złe, że kiedy mu w uszy trąbią pochwalne fanfary, on odczuje wstyd, jaki czuł niegdyś zagranicą przed obcymi, a kiedy będą w nas wmawiali, że teraz dopiero wysoko podniesiony został w świecie *prestige* imienia polskiego, on wspomni upokorzenia, których tak wiele, jako patrjota, doświadczył w ostatnich latach. Nie maładuszność i nie pesymizm odezwą się w jego duszy — tylko tęsknota za czemś rzeczywiście godnem tradycji cywilizacyjnej polskiej

KRAKOWSKI „CZAS" niemile dotknięty ustosunkowaniem się obozu sanacyjnego do osoby Aleksandra Lednickiego, zapytuje ze zdziwieniem, czy dawni „towarzysze broni" zapomnieli już o z a s ł u d z e wspólnej walki z Narodową Demokracją?...

Nie można powiedzieć, ażeby w tem zapytaniu nie przejawiała się sympatyczna nuta pewnej, powiedzmy... kultury, która przecież zawsze powinna cechować obóz konserwatywny, strażnika tradycji, honoru i t. p., i t. p., w przeciwstawieniu do jego dzisiejszych przyjaciół politycznych, wywodzących się z innej, lewicowo-demokratycznej szkoły. Tembardziej słowa te odbijają od postawy i tonu takiej „prasy czerwonej", że zmarły bliższy był jednak ideowo tej szkole, jako członek rosyjskich wprawdzie, ale konstytucyjnych — demokratów. Ba, bliskość ta nawet urasta, według „Czasu", do pozycji jakiegoś braterstwa broni w walce z polskim ruchem narodowym.

Nie będziemy w tej chwili zastanawiać się nad tem, co było właśnie tą bronią; chcemy tylko wyrazić przypuszczenie, że ten szczególnego rodzaju „kombatantyzm" będzie zapewne pretekstem, który pozwoli i konserwatystom znaleźć w swej działalności jakąś pozycję, uprawniającą ich do wejścia w skład tworzącego się obecnie „Legjonu Zasłużonych". Rozgryzie to istotnie trudny orzech w s p ó ł p r a c y różnego rodzaju czynników, wchodzących w skład obecnego BB. na terenie tej nowej instytucji p. Sławka. Sądzić należy, iż takie rozwiązanie przyśpieszy tok prac konstytucyjnych, zwłaszcza, że na tej płaszczyźnie będzie można załatwić nie mniej kłopotliwą sprawę udziału w tym jeszcze jednym legjonie — żydów.

„KURJER WARSZAWSKI" z dnia 19 sierpnia przyniósł skromnym petitem następującą wiadomość z Nowogródka:

„Zmiany na stanowiskach burmistrzów. Wybory do rad miejskich w województwie Nowogródzkiem odbyły się teoretycznie. Faktycznie zaś zgłoszono i uznano za ważne listy jedynie Be Be, dzięki czemu nowe rady ukonstytuowały się bez formalnych wyborów. Dostosowane do takiej sytuacji były też wybory zarządów miejskich, a zwłaszcza burmistrzów: b u r m i s t r z e m S ł o n i m a z o s t a ł b u r m i s t r z d o t y c h c z a s o w y B a r a n o w i c z, p. J a r m u l s k i, b u r m i s t r z e m B a r a n o w i c z, d o t y c h c z a s o w y b u r m i s t r z N o w o g r ó d k a, p. W o l n i k burmistrzem zaś Nowogródka miejscowy poseł z B. B. W. R, p. Małynicz.

Zrozumiałe są jeszcze wymiany wojewodów, starostów, ludzi, bądź co bądź działających z ramienia państwa, będących przedewszystkiem urzędnikami państwowymi. I tu jednak tego rodzaju kombinacje, nie pozwalające na głębsze zżycie się z terenem pracy, wywołują ironiczne uwagi. Cóż jednak dopiero można powiedzieć o wymianie kierowników instytucyj typu samorządowego?

W takich warunkach słowo „samorząd" nabiera specyficznego i zupełnie nowego znaczenia. Wzbogaca ono niewątpliwie słownik języka polskiego o jeszcze jeden synonim, nabytek ten jednak osiągamy zbyt dużym kosztem... innego przejawu naszej kultury, jakim jest przecież przywilej samorządu.

Jeśli więc mamy nawet na różnego rodzaju przesunięcia w służbie administracji państwowej nieco kąśliwe powiedzonko „kontredansu starościńskiego", jakież choreograficzne określenie należałoby zastosować na to tak dzisiaj charakterystyczne *pas* nowogródzkich burmistrzów? Przypomina ono mocno południowo-amerykańską rumbę, albo raczej najzwyczajniejszy taniec św. Wita, zwany u nas pospolicie padaczką...

OSTATNIE MIGRACJE NASZEJ INTELIGENCJI

BADANY przezemnie materjał młodzieży szkolnej pozwolił nie tylko wykryć historyczne przejawy rozprzestrzeniania się typów rasowych, ale także wejrzeć w najświeższe migracje naszej ludności. Wywody, umieszczone przednim artykule, opierały się na badaniu młodzieży pochodzenia miejscowego, której przynajmniej rodzice pochodzili z danego terytorjum, a jeśli miejsce urodzenia badanego leżało w innych ziemiach, było to następstwem czasowego wyjazdu lub sezonowej emigracji. Innych znowu spostrzeżeń dostarcza element napływowy. Ponieważ poważniejsze mieszanie na całym obszarze Rzeczypospolitej zaczęło się po traktacie pokojowym w Rydze i ustaleniu granic w r. 1921, przeto pomijam materjały wcześniejsze jako odmiennego charakteru i terytorjalnie bardzo ograniczone.

Jak silny był ten ruch wśród naszej inteligencji oraz rodzin, pragnących wyższego wykształcenia swych synów, świadczy fakt, że obecnie blisko $^1/_4$ abiturjentów gimnazjalnych pochodzi z innych dzielnic, a nawet z zagranicy. Na 3761 badanych, autochtonów było 2856 cz. 75,94%, przybyszów 905 cz. 24,06%. W zestawieniu mem, jak zawsze, uwzględniam jedynie młodzież czysto polską, nie uwzględniając, ani nie zajmując się żadnemi mniejszościami.

Rozmaite obszary wykazują bardzo wielką rozmaitość. Zestawiając procentowo ilość elementów napływowych w stosunku do osiadłych w poszczególnych województwach, jakoteż zestawiając przybyszów wedle pochodzenia, otrzymujemy wyniki bardzo charakterystyczne. Okazuje się, że terenem dostarczającym najwięcej materjału na eksport do innych dzielnic, są województwa centralne, zwłaszcza warszawskie i łódzkie, w dalszym ciągu południowe i, co dziwne, Polesie, mimo słabego, bezwzględnie biorąc, zaludnienia. Natomiast ziemie zachodnie zachowują się biernie, stanowiąc, przeciwnie, teren imigracji, który zostaje przewyższony jedynie przez województwa północno-wschodnie. Oba te zjawiska emigracji i imigracji wykazują przeciwieństwo — jakkolwiek nie bezwzględne: ziemie b. zaboru pruskiego cechują się silnym napływem przybyszów z innych dzielnic (pospolity więc zwrot o „Galicjakach z Kongresówy" nie jest bezpodstawny), przy minimalnym eksporcie, podobnie też Wileńszczyzna, natomiast wprost przeciwnie przedstawiają się trzy województwa południowe, a jeszcze bardziej Mazowsze, gdy znów ziemie wschodnie i kielecczyzna wykazują ruchliwość w obu kierunkach.

Przyczyny tych różnic wielorakie. Położenie stolicy w centrum Mazowsza, ośrodki przemysłowe w woj. łódzkiem, likwidacja niemczyzny w b. zaborze pruskim, osadnictwo wojskowe na wschodzie, dalej usposobienie i temperament ludności w różnych dzielnicach, jej stopa życiowa i wymagania kulturalne, a wreszcie, co może najważniejsze, stosunki polityczne tak w czasach zaborczych, jak zwłaszcza w chwili bieżącej, to są główne czynniki, kierujące migracjami ludności, a w szczególności inteligencji, dostarczającej głównego kontyngentu młodzieży gimnazjalnej. Obok żywiołów, wędrujących w obrębie granic Rzeczypospolitej, występuje poważny kontyngent reemigrantów, którzy wrócili z zagranicy. Wśród zbadanych abiturjentów rodziło się zagranicą 345, co stanowi 38,1% wędrowców, a 9,2% ogółu. Większość ich wróciła z głębi Rosji, blisko czwarta część z Rzeszy Niemieckiej, 2,6% z Ameryki, reszta wypada na rozmaite kraje Europy, przedewszystkiem nowe państwa nadbałtyckie i ziemie dawnej monarchji Habsburskiej.

Jeżeli chodzi o stosunki rasowe, to różnic zasadniczych niema, inny jednak stosunek wzajemny, wśród przybyszów widzimy więcej rasy północnej oraz typów mieszanych i obcych, natomiast mniej pozostałych typów miejscowych. Wieksza ilość typów egzotycznych i mieszanych łatwo się wyjaśnia mieszanemi małżeństwami w obcych krajach, przyrost nordyków harmonizuje ze znaną z historji dążnością ich d› ekspansji i dalekich wędrówek. Tem dziwniejsza, że wewnątrz Rzeczypospolitej ziemie o obfitszym odsetku tej rasy wykazują najmniejszą ekspansję swych warstw inteligentnych. Może działa tu przywiązanie do wyższego poziomu kultury materjalnej, której brak zwłaszcza w dzielnicach wschodnich. Może pewna nieufność wrodzona, a może też pewne momenty polityczne, tak lokalne, jak i sfer kierowniczych.

Nawiasowo zaznaczam, że pewne tarcia międzydzielnicowe, jako spadek po rozbiorach i nieporozumienia z przybyszami, jakie jeszcze zaznaczają się wśród starszego pokolenia, wśród młodzieży są już bardzo rzadkie i znacznie łagodniejsze, a owszem przybysze nierzadko przyswajają sobie nawet regjonalne zwyczaje i wyrażenia gwarowe. Młode pokolenie zaciera ostatecznie kordony rozbiorowe, scala ojczyznę.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wspaniały zeszyt, poświęcony Romanowi Dmowskiemu, wydał poznański dwutygodnik „Głos". Jest to nr. 13 — 15, wydany w dniu 15 sierpnia r. b. (Poznań, ul. św. Marcina 65).

Zeszyt ten, ozdobiony kilku portretami, rozpoczyna się od bardzo mądrego artykułu ks. prałata Józefa Prądzyńskiego p. t. „Polska swemu wychowawcy". Tę samą stronę działalności Dmowskiego oświetla ze stanowiska świeckiego prof. uniw. Ludwik Jaxa-Bykowski w art. „Roman Dmowski jako wychowawca pokoleń". Prof. Kaz. Tymieniecki, znakomity historyk, pisze o Dmowskim, jako o pisarzu politycznym. Ale jest tam wiele ciekawych spostrzeżeń o myślicielu. Senator Marjan Seyda, redaktor „Kur. Poznań." dał

artykuł „Stosunek społeczeństwa ziem zachodnich do R. D.” Tadeusz Bielecki „W szkole Dmowskiego”. Dalej: Stefan Niebudek „Dm. a katolicyzm”, Stan. Czapiewski „Przewrót światowy w świetle dzieł R. D.” Karol Stojanowski „Chłop a państwo narodowe: R. D. o chłopie”, prof. St. Surzycki „Dwa zakręty dziejowe”, Jan Rembieliński „Polska i tylko Polska”, senator Wł. Jabłonowski „Rola R. D. w rozwoju świadomości narodowej”. Z. Wasilewski „Podróże Dmowskiego”, prof. Bohdan Winiarski „Przed 16 laty”, Cel. Rydlewski „Wspomnienia z wielkich dni”, J. Rus „Dm. w życiu prywatnem”, St. Sieciechowicz „R. D. Życie i czyny”. I t. p.

Pozatem bardzo ładny zbiór ważniejszych wystąpień R. D. Całość, starannie ułożona i wydana, starczy objętością na sporą książkę. Tem większe uznanie należy się redakcji, że dokonała tego wydawnictwa w porze letniej, kiedy bardzo trudno odnaleźć ludzi piszących, zażywających wakacyj. Zeszyt ten będzie cenną pamiątką i źródłem informacyj dla szerokich kół narodowych.

*

Głośna przed wojną, sprawa Azefa przez oddalenie czasowe zbłękitniała dziś do cna, pozostawiła jedynie ślad w postaci t. zw. „azefjad”, które i w naszej współczesności znajdują potwierdzenie faktyczne.

Z imienieniem Azefa wielu wiąże nieodłączne cechy tej rasy, która przekazała tradycję pierwszego prowokatora — Judasza, po dzień dzisiejszy monopolizując wymieniony zawód. Żydowskie pochodzenie swego bohatera stwierdza B. Nikołajewskij w książce: „Azef. Historja podwójnego zdrajcy” (Biblion) i tem tłumaczy — między innemi — zagadkową napozór rolę Wallenroda policyjnego, nie wytrzymaną zresztą w linji przez tego groszoroba i rozpustnika.

Tak więc zamach na ministra spraw wewnętrznych Plehwego w r. 1903 był dziełem Azefa, który odegrał tu rolę mściciela pogromów żydowskich, organizowanych z wiedzą Plehwego, przez policję rosyjską:

„Za głównego winowajcę wszyscy uważali Plehwego, który ruchawki antysemickie uznawał za środek pożytecznej walki z ruchem rewolucyjuym.. Ogromne wrażenie wywarł pogrom i na Azefie... Ten ostatni nie był żydem-nacjonalistą... Wszelako czuł się żydem... Iwanowska opowiada, że podczas ich spotkań w Warszawie i Wilnie, jakkolwiek poważnym bywał temat ich rozmów, prowadzonych na ulicy (a spotykali się oni w okresie przygotowań do zamachu na Plehwego) — nigdy Azef nie ominął żadnego z owych bosonogich handlarzy, chłopaczków żydowskich, którzy tak licznie biegali po ulicach tych miast, iżby nie kupić u niego czegoś za grosz lub dwa grosze. A jego oczy, tak często patrzące „wyłupiasto-chłodno”, z pewnością w owych momentach stawały się podobnemi do zwykłych, smutnych oczu żydowskich”... (str. 80).

Według relacji zwierzchnika policyjnego Azefa, Zubatowa — Azef, pod świeżem wrażeniem wieści o pogromie żydów w Kiszyniowie — „trząsł się z wściekłości i z nienawiścią mówił o Plehwem, jako o głównym winowajcy zbrodni kiszyniowskiej” (str. 81).

I dalej: „Bezwątpienia ta okoliczność okazała wpływ rozstrzygający na losy Plehwego: jeżeli w innych wypadkach Azef, w rachubie na zyski, mniej lub więcej biernie dopuszczał spełnienie się aktów teroru, to w sprawie Plehwego dołożył on sam sporo czynnego wysiłku, aby rzecz doprowadzić do pomyślnego kresu” (str. 8).

Okazuje się, że niefortunny minister spraw wewnętrznych padł nie z ręki „czynników antypaństwowych” — dosięgnął go „gniew Jehowy”, który mści się krzywd „ludu wybranego”.

Tu możnaby wtrącić zdanie o historji — mistrzyni życia — byłoby to jednak zbędnym retuszem. Rzecz o Azefie czyta się z niesłabnącem zaciekawieniem — chwilami nieprawdopodobieństwo wytworzonej sytuacji przypomina wallace'owską powieść kryminalną: trzeba jednakże uwierzyć dokumentom z archiwum „ochrany”, udostępnionego po rewolucji.

Tak więc historja ma dwa oblicza: jedno — to z „oficjalnych komunikatów”, drugie oglądają tylko wtajemniczeni...

Wiele wody upłynie, nim prawda, jak oliwa, wyjdzie na wierzch. (S. J.)

*

W dniach nieszczęścia, wynikłego z powodzi niedawnej, zapomniano już może o podobnej klęsce, która przed dwoma laty nawiedziła Wileńszczyznę. Pamiątką owej klęski jest broszura, wydana w r. z. przez „Komitet ratowania bazyliki wileńskiej”, a poświęcona dziejom i znaczeniu owej bazyliki, jednego z najpiękniejszych zabytków sztuki w naszym kraju. Prócz odezwy komitetu dwie są prace literackie w tej broszurze. Inż. H. Wąsowicz przejrzyście i przystępnie zaznajamia czytelników z warunkami budowy świątyni — od XIV w. do ukształtowania jej przez Gucewicza w XVIII w. — oraz ze sposobami obecnej naprawy szkód. Prof. S. Cywiński daje zajmujący a rzetelny zarys dziejów bazyliki, oparty na dokumentach, starodawnych nieraz kronikach i nagrobkach; zwłaszcza ciekawe są łacińskie napisy, znalezione w trumnach dwóch pierwszych żon Zygm. Augusta; w przekładzie skorygować należy drobne dwie niedokładności: *morbus comitialis*, to nie „wielka choroba”, lecz poprostu epilepsja, *anus* zaś, to nie „matrona”, lecz „staruszka”. W niejednym szczególe prostuje Cywiński błędne mniemania dawnych monografistów, dzięki czemu szkic ten ma i wielką wartość dla historyka. Dla turysty zaś, kochającego dawne polskie zabytki i pamiątki, broszura cała jest najlepszym przewodnikiem. W ten sposób czyn prawdziwie obywatelski i kulturalny „Komitetu ratowania” zwiększa swoje znaczenie i zasługę.

Przypomina się nam w związku z tą broszurą, że przed 30 laty, gdy powódź zniszczyła znaczną część Polski, literaci polscy nie wysypiali się na klubowych i akademickich fotelach, lecz ofiarnie a bezinteresownie pośpieszyli z pomocą nieszczęśliwym ziomkom. Dwie księgi zbiorowe, na ten cel przez nich wydane, a ozdobione najprzedniejszemi naówczas w Polsce imionami literatów, cały swój zysk oddały powodzianom. Gdybyż dziś literaci pokazali, że nietylko społeczeństwo im coś winno, ale i oni coś winni społeczeństwu!.. Toby im bardziej zjednało serca publiczności, niż wszelkie przymusowe chodzenia do teatru etc. etc. (J.)

*

Dzieje kultu obrazu N. M. P. Ostrobramskiej nie były dotychczas naukowo opracowane. Istniało tylko parę popularnych broszur, wydanych przeważnie z okazji koronacji cudownego wizerunku w r. 1927. Starsze zaś opracowania tego przedmiotu, dla swej rzadkości bibljotecznej prawie niedostępne, nie przedstawiały także większej wartości naukowej. Lukę tę zapełnia teraz teza doktorska ks. T. Sieczki (Ks. Tadeusz Sieczka: „Kult obrazu N. Marji Panny Ostrobramskiej w dziejowym rozwoju”. Dysertacja doktorska. Studja Teologiczne VI. W Wilnie, 1934. Str. 4 + VIII + 97 + 3 + 10 tablic), który niezwykle sumiennie i szczegółowo opracował dany temat, wykorzystując skrupulatnie niemal wszystkie istniejące źródła bibljoteczne i archiwalne. Dzięki temu był w możności odtworzyć całą historję czci obrazu i wyjaśnił prawie wszystkie, związane z tem zagadnienia.

Kiedy wizerunek, prawdopodobnie pochodzenia włoskiego, znalazł się na bramie miejskiej w Wilnie, dokładnie niewiadomo. Zapewne w XVI wieku. Dopiero jednak przybycie w r. 1626 Karmelitów Bosych do Wilna i założenie przez nich klasztoru koło Ostrej Bramy stanowi datę przełomową w historji kultu. Oni bowiem zwrócili pierwsi uwagę na obraz, nie doznający dotychczas jakiejś specjalnej czci od ludności. Dzięki ich propagandzie kult obrazu wzrastał stopniowo wśród mieszkańców. Szczególne zasługi dla tej sprawy położyli dwaj zakonnicy: O. Karol od Ducha św. i O. Hilarjon od św. Szczepana, który pierwszy dał krótko drukowaną historję obrazu. W r. 1668 magistrat wileński oddaje wizerunek pod opiekę Karmelitów i pozwala wybudować na bramie miejskiej kaplicę, nieraz potem przebudowywaną i upiększaną. Kasacja klasztoru przez władze rosyjskie w r. 1844 wcale kultu nie przerywa ani zmniejsza. Kaplicę i kościół św. Teresy obejmuje duchowieństwo świeckie i pomimo utrudnień, stawianych przez Moskali, roztacza nad niemi opiekę przez cały wiek XIX, broniąc obrazu przed zakusami prawosławnych, chcących go odebrać pod pretekstem nibyto jego bizantyńskiego pochodzenia.

W swej książce ks. Sieczka zajmuje się wyłącznie dziejami samego obrazu. Nie uwzględnia szerzej historji tak ściśle z nim związanego klasztoru (niedawno wskrzeszonego) Karmelitów Bosych. Naszkicowanie, choćby krótkie, jego dziejów znacznieby ożywiło studjum, będące cennym przyczynkiem do historji Kościoła w Polsce. Należy podkreślić staranność opracowania dysertacji, której wartość podnosi wydrukowanie w niej różnych, nieopublikowanych dotąd, dokumentów archiwalnych. Spis literatury, dotyczącej zagadnienia, jest niemal kompletny. Nie uwzględniono w nim serji artykułów, drukowanych przed paru laty w krakowskim „Głosie Karmelu”, o karmelitach, rezydującej przy Ostrej Bramie. (L.)

MUZYKA

T. ZW. „MUZYKA PAŃSTWOWA”

W 6 — 7-ym numerze czasopisma „Muzyka” ukazał się dawno już zapowiadany artykuł p. dr. Wójcik-Keupmlian p.t. „Muzyka a wychowanie państwowe”, który ma wszelkie cechy dokumentu przeżywanych obecnie czasów. Dlatego więc warto się nim zająć i poświęcić mu trochę wierszy.

Na początku swoich wywodów p. Wójcik-Keupmlian stwierdza, że w wychowaniu t. zw. „państwowo uświadomionych i państwowo-twórczych obywateli", bardzo nawet „...ważną rolę mogłaby odegrać muzyka, celowo tworzona i stosowana w myśl wskazań wychowania państwowego, jednem słowem — muzyka państwowa". Następuje potem powoływanie się na przykład Chin i Grecji, cytowanie Tołstoja, wreszcie uwaga, która mówi, że „jeśli przebiegniemy w ogólnym zarysie dzieje artystycznej muzyki europejskiej w średniowieczu i w czasach nowożytnych, trudno byłoby nam dopatrzeć się najsłabszego choćby zainteresowania charakterem muzyki ze strony państwa, trudno byłoby wskazać wpływ państwa na moralną jakość muzyki". I dalej „jeśli uprzytomnimy sobie rozwój muzyki europejskiej w dziewiętnastym i dwudziestym wieku, to bez trudu również zauważymy, że i w tych czasach państwo na jakość jej żadnego nie miało wpływu".

Takie kiwanie głową nad całą muzyką średniowiecza' czasów nowożytnych aż po dzień dzisiejszy, całą bogatą twórczością ludową wszystkich narodów, (na którą, wbrew poglądom autorki artykułu, tamta „wybrana" miała jednak wpływ)— ubolewanie, że na tem wszystkiem nie ciążyła „moralna wartość państwa", może doprawdy mocno zadziwić.

A już serdecznie wszystkich ubawi taki przejaw niewątpliwie skrajnego optymizmu i naiwnej wiary, która aż bije ze słów następujących: „W chwili obecnej rola państwa jest w dziedzinie muzyki już nieco większa, niż to było dawniej. Operowe teatry państwowe, państwowe nagrody muzyczne, a przedewszystkiem państwowe szkolnictwo muzyczne stwarzają warunki do bujniejszego i pomyślniejszego rozkwitu sztuki muzycznej". (Podkreśleni, tym razem, moje).

Powinszować entuzjazmu! Jakież jednak przykłady dotychczasowej akcji upoważniają do niego? Nadanie godności członka honorowego orkiestry Filharmonji Warszawskiej p. Kadenowi, czy też „Sałatka (!) legjonowa" Śledzińskiego? Wątpię, zresztą i autorka ich nie wymienia, ale powołuje się, jeśli chodzi o przykłady, na Niemcy i Sowiety. Czytamy więc: „Doniosłego zewszechmiar znaczenia pieśni dla celów państwowych dobrze świadomi są Niemcy dzisiejsi, u których zresztą czynne uprawianie muzyki znajdowało zawsze powszechne zrozumienie u jaknajszerszych warstw. To też warto przeglądnąć(?) choćby tylko katalogi niemieckich wydawnictw muzycznych, by przekonać się, jak silny oddźwięk w twórczości niemieckiej muzycznej znalazła przebudowa państwa w duchu narodowo-socjalistycznym, podjęta przez kanclerza Hitlera. Rok zaledwie upłynął od objęcia przez niego władzy, a wydawnictw takich jest niezliczne mnóstwo. Obok specjalnych fanfar i marszów ku czci Hitlera, obok przysięgi wierności dla „Wodza", widzimy w Niemczech osobne zbiory pieśni takich, jak: „Pieśń Trzeciej Rzeszy", „Śpiewnik młodzieży hitlerowskiej", „Śpiewnik służby pracy", jak dalej pieśń o sztandarze: „Swastyka i czarno-biało-czerwona chorągiew" — i wiele, wiele innych, nie mówiąc już o słynnej pieśni oddziałów szturmowych *„Horst Wessel"*, śpiewanej przez cały naród".

Dosyć, dosyć! Przecieramy ze zdumieniem oczy: taką to „twórczość" chce autorka artykułu przeciwstawić dotychczasowemu dorobkowi, o nią woła, jej się domaga? Pomijam już nawet w tej chwili owo ukazywanie, jako przykładu, najpospolitszej frazeologicznej tandety, chcę zwrócić uwagę na tendencję wepchnięcie sztuki w wyłączne łożysko programowości, wypływającej z nadmiernej ingerencji państwa tam, gdzie z natury rzeczy wciskać się ono nie powinno.

Każdemu z nas leży na sercu wychowanie prawdziwego obywatela i to nietylko takiego, którego stosunek do państwa opierałby się wyłącznie na poprawnej lojalności, ale czującego i myślącego prawdziwie po polsku. Sądzę jednak, że daleko większe znaczenie wychowawcze posiada twórczość Zielińskiego, Mielczewskiego, Chopina, Moniuszki, Szymanowskiego, aniżeli jakaś okolicznościowa „wiązanka", sklecona na akademję ku czci np. nowouchwalonej konstytucji...

Słuszną i potrzebną rzeczą jest budzenie dumy narodowej ukazywaniem naszego doprawdy świetnego dorobku muzycznego, niezrozumiały i kaleki jest natomiast wysiłek entuzjazmu do państwa w oderwaniu od narodu i jego cywilizacji. I to entuzjazmu zorganizowanego, zrobionego na zamówienie. Czy przykład niedołężnego sklecenia nowego „hymnu państwowego" przez nawet tak bardzo utalentowanego Maklakiewicza nie mówi już wiele?

Daleki jestem od twierdzenia, jakoby nie należało i nie można było entuzjazmować się państwem. Przeciwnie, przejawy takiego entuzjazmu bywają niekiedy wielką zdobyczą kultury narodowej. Przykładem chociażby, z dziedziny literatury, Żeromskiego „Wiatr od morza".

Ale ukazywanie dorobku pierwszego roku rządów hitlerowskich w postaci jednego z najmniej imponujących przejawów, jakim jest owa powódź okolicznościowej lichoty muzycznej, zdumiewa tak, iż się poprostu wierzyć nie chce, że przykład jest podany bez chęci drwienia z czytelnika.

I u nas również, możemy o tem p. Wójcik-Keupmlian zapewnić, poczyna się dziać podobnie. I u nas tego rodzaju twórczość (nie wyrosła wprawdzie, jak w Niemczech, z entuzjazmu), poczyna się narzucać z poza szyb księgarni. Rodzi się tani i płytki panegiryzm muzyczny, wychowawca frazesu i tromtadracji. Przykłady nieraz straszą, nieraz śmieszą, a zawsze nudzą.

Porównajmy teraz to wszystko z całym naszym dorobkiem muzycznym, na którego „moralną wartość" państwo nie miało wpływu...

Jest jedno przysłowie. Mówi ono: „Broń mnie Boże od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się obronię".

W. NARUSZ

LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jakkolwiek w czasach, w jakich obecnie żyjemy, literatura t. zw. nadobna mało kogo głębiej interesuje, pozwalam sobie prosić Pana Redaktora o zamieszczenie powyższych słów, jej właśnie dotyczących. Śmiałość mojej prośby jest tem większa, że w znacznym stopniu idzie tu i o mnie osobiście. Mianowicie świeżo dowiedziałem się, że na polu literackiem wystąpił mój imiennik, pan Tadeusz Wagner, który przełożył powieść Aldanowa p. t. „Jaskinia". (Wydawnictwo J. Przeworskiego, okładka Mieczysława Bermana, drukarnia „Floryda" *(sic)*. Sądzę, że wogóle nie jest to dla nikogo miłe, gdy osobę jego mylą z kim innym. Cóż dopiero, jeśli z powodu cudzych przewinień odbiera się ironiczne gratulacje. Pisuję i drukuję już od lat wielu, nigdy nie posługując się polszczyzną w guście p. Wagnera *juniora*. I tutaj, choć z przykrością, poruszyć mogę, a nawet muszę, sprawę już nie osobistą. Niedbalstwo językowe mego imiennika woła o pomstę do nieba. Oto parę niewonnych kwiatów z jego grzędy — parę tylko, gdyż rejestr grzechów p. Wagnera zbyt jest długi, by można było podać go w całości. „Mnie on nie poświęca w te sprawy", „nie byli w stanie zauważyć ten szczegół", „prime minister" etc. etc. etc. Tego, co tłumaczy, p. Wagner stale nie rozumie. Oto np. obok Maneta wymienia jakowegoś „Sezanne'a (str. 37, 41, 42). Oczywiście, jest to słynny malarz, pisywany przez *C*. Zapewne było tak: po rosyjsku nie da się różnicy uwidocznić — i niekompetentny tłumacz, transkrybując z kolei nazwisko na język francuski, zrobił to według swego widzimisię.

Ponieważ, mimo że zazwyczaj w literaturze występowałem jako Newlin Wagner, czyniłem to przecie niezawsze, a krytyka nazywa mnie często poprostu Wagnerem *(vide* np. „Kurjer Warszawski" z dnia 29.V.1929 z odcinkiem „Na marginesie przekładów Tadeusza Wagnera") — zmuszony więc jestem dobitnie zaznaczyć, że z tłumaczem „Jaskini" nie mam nic wspólnego, że dobrze byłoby, gdyby raczył do swego podpisu dołączać drugie imię i tem się ode mnie odseparować, a jeszcze lepiej, gdyby literaturze polskiej dał spokój.

Dr. TADEUSZ WAGNER

OFENSYWA

ŻEKELE BLOFFER (WASSERZUG)

W NÖRHOLM, w Norwegji, w swoim ziemiańskim dworze obchodził święto 75 lat przepięknie przeżytych Knut Hamsun. Żona, dwie córki: Elinor i Cecily, syn Arlid, dopuszczone delegacje, skromny obiad, krótkie toasty, telegramy z całego świata. Godnie. Warszawska Akademja Nieśmiertelnych (dożywotnio) Miernot i Przypadków oczywiście nie wysłała telegramu. Zapomniały. Albo może nie było gotówki na depeszę? W „mocarstwie" i to możliwe. Wogóle w prasie i w literaturze dość głucho. Śpiące, tępe, ospałe, gnuśne Lechity nie miały przy tej okazji nic do powiedzenia. Tem ochoczej i namiętniej powyskakiwały z kątów różne *bluffer*'y, aby popisać się swojem koneserstwem i umiłowaniem... dziedzica z Nörholm.

A to rozwierzgany Brandstaetter (znośnie), a to dyskretnie i nahalnie Iksionista Wasserzug (nieznośnie). Ale niby właściwie poco, i skąd, i kogo to zbałamuci i olśni? Co mają urbaniści, *ultra*-urbaniści, asfaltowcy, burżuje, *ergo* dziecka miast i przedmieść, kawiarniane *pflance* do takiego typu autora jak... chłopski, wsioski, gospodarski Hamsun? Żeby trudniej było zgadnąć? Na przekór? Jak naumyślnie w chałacie do Łazienek, tak koniecznie, musowo o Hamsunie? Niby skąd? Poco się pocą? I rozpisują o autorze, z którym jednej fibry wspólnej nie mają i przy którym muszą ziewać zapewne aż szczęki trzeszczą.

Bardziej jeszcze chłopski od Reymonta, borynowaty nieco, jest ten pisarz-włodarz, gazda. Tak Hamsuna opisują ci, co wiedzą i widzieli, takim był i musiał być autor „Błogosławieństwa ziemi". Ot, z takim Kasprowiczem by się ci dwaj dogadali, tembardziej, że przy piwie, które autor „Głodu" sam u siebie w Nörholm warzy w dworskim browarku. No i z Żeromskim także, w którego listach niepośledna, żrąca, wściekła tęsknota do posiadania własnego kawała ziemi, dworku, obejścia, krów, porządnego stangreta, karbowego, po dawnemu. Ależ co ma do takiego Hamsuna p. Brandstaetter, no a cóż dopiero ten p. Wasowski de Wasserzug? No, ale on jest *Schoengeist*, on jest markiz z ducha, więc on musi poprostu przebywać wśród szczytów i zajmować się szczytami. W doły nie zejdzie, tylko w regjonach ozonowych czuje się dobrze ze swojemi zboczeniami (intelektualnemi). Bo czyż nie jest zboczeniem np. Wasserzuga i t. p. *bluffer*'ów rozkochanie się na zabój w... Conradzie, znów w „panu z panów", maryniście, żeglarzu, w podróżniku, psychognoście, znów z urbanistami i asfaltowcami jednej fibry wspólnej nie mającemu.

Skąd więc ten *canonflage*? Poco to pozowanie? Ale jeszcze mu tego mało. Ten Wasowski jest specjalistą od wyłapywania rocznic, o których te głupie, rdzenne Polaki na szmelc zapominają.

Znów więc skompromitował Endeków i Endekoidów wyciągnięciem pod światło 75-ej rocznicy śmierci Z. Krasińskiego i stulecia od napisania „Nieboskiej komedji". I nie bez *schadenfreude* freudysta Wasowski ni stąd ni zowąd, ni przypiął ni przyłatał w „Krzywickim Menkexpressie" wysypuje fejletonczyk o... „Nieboskiej". Żeby trudniej było zgadnąć.

Zabawne są te *bluffer*'y typu *Grojseszyk* (intelektualny). Jeden nie może wytrzymać bez Świętego Franciszka z Assyżu, inny jest: „honorowy Hucuł z Żabiego", inny spać się kładzie tylko z Mauriac'iem, a p. Wasowski kocha Hamsun, Conrad, Krasiński. Jaki to *fin*, jaki *fine* w tych czasach, gdy czyny są „*gemein*". Wogóle ogromnie się zmienił w ostatnich leciech ten nasz Goworek czy Sieciech. Na ten przykład dawniej to był bardzo namiętny germanofil. Wziąć do rąk jedno z jego standardowych worków np. takie „Doświadczenia wojny", albo „Człowiek w Polsce". Ale teraz p. Wasowski z Wasowa poprostu „cierpit" nie może. Kiedy Beseler był... w Warszawie, to i owszem, Niemcy *first* i niewinne jak baranki. Ale kiedy Hitler... w Berlinie, to Niemcy są „ludożercy z kartoteką" (Sokołow), barbarzyńcy z epoki kamienia złupionego, gorzej, Neanderthalery! Troglodydy są Niemcy! Calibany są! Behemothy są! Hotentoty są! Gog i Magog są! Czarni jak smoła! A kto teraz jest cacy? Gdzie są Ormuzdy wobec takich Arymanów (*Arier-mannów*)? Oto właśnie wytworny fejletonista z Czerwonej Prasy wykazuje wam, Polacy, kogo on popiera: Conrad, Krasiński, Hamsun... A dlaczego: Hamsun popiera? A z powodu: interwiew popiera...

No i teraz mały... szwindel, odkrycie małego szwindla. Tuż przed jubileuszem (75-leciem) do Hamsuna do Nörholm zgłosił sie literat niemiecki Lothar Knaak. Ze zwykłym u Niemców nietaktem, ale i ze szczerością prostacką, zapytał wprost autora „Głodu", „Misteryj", „Pana" i t. p. co myśli o kwestji: *Juden raus!* A wtedy dziedzic z Nörholm, jak zwykle szczerze, lojalnie, z prostotą: Niemcy powinni „powstrzymać potęgę żydowską"... „w Niemczech żydzi rządzić nie mogą". I t. p. i t. d.

Oczywiście Lothar Knaak puścił to zaraz w nazistowską prasę...

Żydzi, którzy już przedtem mieli tyle niespodziewanego kłopotu z Shaw'em, z Hauptmannem, z Bahrem i t. p. wpadli wobec takiego *dictum arcebum* na pomysł obrzydliwego szwindla. Aby unieszkodliwić taką enuncjację z 1934.VII wyszukali i wyciągnęli starą enuncjację K. Hamsuna o żydach z r. 1928 i taką puścili w kurs do „*Weltpresse*".

Odpowiednio spreparowaną, obrzezaną notatkę dano teraz do prasy. Pogląd z r. 1928 oszukańczo sprezentowano jako *made in* 1934. Tytuły w notatkach i telegramach: „Hamsun przeciwko barbarzyństwu Hitlerowskiemu" i t. p.

Taką notatkę gdzieś przeczytali i p. Brandstaetter i Wasserzug z Wasowa Wasowski. *Judae amor et cultus.* W dwie godziny potem były gotowe hymny rewanżowe, a już rzecz najzabawniejsza w tem, że w laurce o Hamsunie *Żekele Bloffer* powtórzył, nie kryjąc się, literalnie ten sam kwacz frazesowy, co w kiczu o Conradzie...

Nawiasem mówiąc, Wasserzug jest to ten sam „Iksyon", który czasami puszcza się i na wody polityczne. Oczywiście ochwaceniec prasowy zawsze się potknie, jak się zawsze potykał w swych potyczkach i *polewitzwach*. Niedawno biedaczek stanął sobie w obronie... bandy Stawiskiego. Coś go ciągnęło. I nie oparł się. I stanął na pozycji tuż obok dr. M. Kapłona, paryskiego korespondenta „Naszego Przeglądu". Kapłon pisał („Dość Stawiskjady"):

> „Afera Stawiskiego jak zmora od dwóch miesięcy przytłacza życie polityczne Francji. Wszyscy bez wyjątku życzą sobie, by nareszcie już nastąpił koniec i życie publiczne wróciło na normalne tory...
>
> Prawica, chcąc obalić fundamenty lewicy, może się przegalopować i sama zginąć pod gruzami".

A p. Wasserzug, choć nie jest ani Kapłonem ani syjonistą, całkiem w tym samym duchu i sensie:

> „Dziennik paryski „*Liberté*" oskarża b. ministra spraw zagranicznych Paul Boncoura, o udział w aferach Stawiskiego. Dziennik „*Liberté*" prowadzi haniebną kampanję polityczną... Zjawił się demagog i rozpoczął swoje niecne dzieło. Tym razem reprezentował żywioły skrajnie nacjonalistyczne, którym wydawało się, że oto nadeszła chwila do ostatecznego rozprawienia się z... republiką.
>
> Zabrali się do roboty mistrze kłamstwa i oszczerstwa. Rozpalili namiętności tłumu, trującemi gazami demagogji zaczadzili mózg człowieka ulicy".

Tak pisze Iksyon o kombatantach francuskich.

Coprawda, tak samo o nich pisywał za czasów... Beselera, podlizując się okupantom. Gdyby się nie czepiał Hamsuna „*Żekele Bloffer*", toby go się nie widziało i nie karciło. Niech wraca do „polityki". Pan jest zupełnie bezbronny i nieszkodliwy (unieszkodliwiony), więc może sobie pisać, co chce, i będzie miał spokój.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W lipcowym zeszycie „*Revue des deux Mondes*" p. J. Kaden-Bandrowski zareklamował „Akademję Literatury", której jest sekretarzem. Pogromca Homera i Dantego, za to ostatnie „arcydzieło" swoje powinien być odznaczony „złotym wawrzynem" Akademji. O „fotelach" — t. j. tych, którzy na nich zasiedli — mówi autor reklamy z zachwytem twórcy nad własnem dziełem. Wszyscy są tu — znakomici, świetni (nawet Miriam!), conajmniej — subtelni... Pan Rzymowski np. nietylko jest krytykiem wybitnym *(„de valeur")*, lecz również i publicystą o „stylu godnym wielkiego artysty" (p. zwłaszcza broszury okupacyjne na cześć cywilizacji niemieckiej i „Roman Dmowski — czciciel djabła").

Jednakże w tym ferworze reklamiarskim zapomniał p. sekretarz o dwóch znakomitościach Akademji, mianowicie o Boy'u-Żeleńskim i B. Leśmianie, ci bowiem są tu podani *in crudo*, bez żadnego przymiotnika. Co do p. Leśmiana, to nic dziwnego, gdyż ten znany jest... w Zamościu jako rejent, co innego Boy — o nim w Paryżu więcej wiedzą, niż o wielu innych „fotelach" Akademji. Może dlatego p. Kaden nie zaliczył go do „świetnych", czy „znakomitych" — a może dla czego innego? Wskutek omyłki zecerskiej Cyprjan Norwid zaawansował na generała *(„général"* — zamiast *„génial")*, mała to rzecz, a w każdym razie jest czemś symbolicznem dla Akademji.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM